MAGAZYN *razem z dodatkami*

● Rok 2025 nie był zły. I byle 2026 nie był gorszy ● Kalendarz filmowy na rok 2026
● Tragedie w pracy. Szefowie oskarżeni ● Nie ma jak u... sióstr. Elżbietanki dają namiastkę domu
PLUS TELEMAGAZYN **z programem TV**

GŁOS SZCZECIŃSKI
DZIENNIK POMORZA

Piątek 9.01.2026 | Nr 6 (5764) Nakład: 9.640 egz. | **www.gs24.pl** Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Nr ISSN 0137-9178 Nr indeksu 348-570

Rozmowa z prof. Błażejem Brzostkiem, autorem książki „Życie codzienne kobiet w PRL" **str. 2**

330 mieszkań na wynajem powstanie przy ul. Starkiewicza i Bocznej **str. 3**

Zielony Dwór znowu będzie wystawiony na sprzedaż **str. 4**

Nocne zimowe zbiory w Baniewicach zakończone

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

W środku nocy w Baniewicach rozegrał się jeden z najbardziej niezwykłych spektakli europejskiego winiarstwa. W blasku latarek i reflektorów samochodów zbierano zmrożone winogrona **str. 3**

Gustav Klimt kolejny wielki mistrz w Szczecinie. Nowe multimedialne widowisko **str. 4**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Region. 20 ciągników, liczna obsada. Z rozmachem, choć bez grosza. Tak powstał film w Główczycach

TYGODNIK REGIONÓW – STR. 14

Praca. Aż 71 procent Polaków popiera ujawnienie wynagrodzeń **str. 5**

Historia. Sowieccy oficerowie oddelegowani do pracy w aparacie represji w Polsce **str. 6**

Pomorze. W stacji Pogotowia Ratunkowego stoi kilka ambulansów. Dwa na włączonych silnikach. Jeden zespół właśnie przyjechał TYGODNIK REGIONÓW – STR. 12-13

Kraj. Dziś spotkanie prezydenta z premierem. Będzie przełom? **str. 6**

eprasa.pl c26f06339e

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA
● Paulina Chylewska - prezencja, wiedza, błyskotliwość

PONIEDZIAŁEK
● Sportowy24: Grali na boiskach, grali na parkietach

WTOREK
● Strefa Biznesu: W gąszczu ekonomii nie zginiesz

ŚRODA
● Strona Zdrowia: Korzyści diety wegetariańskiej

CZWARTEK
● Pod Paragrafem: Czas brutali w kaszkietach

PIĄTEK
● Puls i Tygodnik Regionów. Teksty ze znakiem jakości

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 94 340 11 14, mail prenumerata.gdp@polskapress.pl, na stronie prenumerata.gp24.pl

W PRL sferą wolności dla kobiet była praca, czasami „na dwa etaty”

Anna Kruszyńska
Rozmowa

z prof. Błażejem Brzostkiem, historykiem i autorem książki „Życie codzienne kobiet w PRL”

Jaki obraz PRL wyłania się z pańskiej książki?
PRL był dyktaturą, która ograniczała możliwość wyrażania społecznych interesów. Jestem sceptyczny wobec narracji przedstawiających PRL jako system, który miał charakter emancypacyjny, wspierający chociażby zmianę ról społecznych kobiet w stronę większej wolności. Każdy system, który blokuje wyrażanie ludzkich opinii i emocji, ma charakter nieemancypacyjny. W PRL nie było rzeczywistej emancypacji kobiet, choć zachodziły procesy, które zwiększały ich niezależność - migracje ze wsi do miast, wzrost samodzielności materialnej, nowe prawo małżeńskie, które dawało większe samostanowienie. Od 1956 r. obowiązywało też liberalne prawo dotyczące aborcji, które z kolei oferowało też dużo większą niż dzisiaj swobodę wyboru.

Kiedy zatem można mówić o realnej emancypacji?
Wtedy, gdy jest możliwe publiczne formułowanie postulatów i protestów. W PRL było to bardzo trudne. Problemy kobiet wynikały przede wszystkim z nierównej pozycji na rynku pracy - niższych płac, utrudnionego dostępu do atrakcyjnych zawodów i stanowisk. Dochodziła do tego nierówna dystrybucja czasu i faktyczny brak praw politycznych.
Tych kwestii nie można było publicznie artykułować tak, jak na to zasługiwały. Przestrzeń do wyrażenia własnych potrzeb pojawiła się dopiero w okresie „Solidarności”.

Wspomniał pan o „Solidarności”. Wcześniej zdarzały się też momenty, kiedy kobiety podnosiły głowę i próbowały działać wbrew systemowi?
Tak, na różne sposoby. Kobiety były widoczne w protestach już w latach stalinizmu, zwłaszcza w zakładach pracy – często wręcz animowały sprzeciw. Podobnie podczas protestów chłopskich przeciwko kolektywizacji. Grupy kobiet blokowały wiejskie drogi i próbowały powstrzymać agitatorów domagających się wstępowania do spółdzielni produkcyjnych.

FOT. ADRIAN GRYCUK

Błażej Brzostek: - : Dzisiaj Kościół postrzegany jest jako instytucja opresyjna wobec kobiet, ale nie zawsze tak było.

Skąd brała się ich odwaga?
Kobiety działały w poczuciu względnego bezpieczeństwa. Aresztowanie mężczyzny było dla władz łatwiejsze niż zatrzymanie kobiety opiekującej się małymi dziećmi – i politycznie, i wizerunkowo. Represje wobec kobiet były więc słabsze, co zwiększało gotowość do działań, na które mężczyźni często się nie decydowali. Kobiety pozwalały sobie na silniejszą publiczną ekspresję: krzyczały na zebraniach, otwarcie protestowały. Źródłem buntu była lepsza znajomość bolączek codziennego życia. To kobiety odpowiadały w największym stopniu za zaopatrzenie domu, więc w praktyce to one mierzyły się z permanentnymi brakami – a te były stałym elementem PRL, od początku do końca. To doświadczenie napędzało frustrację i sprzyjało krytyce zarówno sytuacji domowej, jak i samego systemu.

Czy dzisiaj jesteśmy świadomi roli kobiet w przemianach, jakie nastąpiły w czasie „Solidarności” i które finalnie doprowadziły do transformacji ustrojowej w Polsce?
PRL była tworem politycznie patriarchalnym - zarówno w obozie władzy, jak i „Solidarności”.
Widać to najlepiej przy Okrągłym Stole: rozmowy prowadzili niemal wyłącznie mężczyźni. Obecne były zaledwie dwie kobiety, a w części komisji – tzw. podstolików – nie było ich w ogóle. Dotyczy to także podstolika zajmującego się ruchem związkowym, a więc legalizacją i przyszłością „Solidarności” i innych związków. To mówi wszystko o realnym udziale kobiet w formalnych strukturach negocjacyjnych tamtego czasu. Ten problem trwa zresztą do dziś. Różnica polega na tym, że dziś żyjemy w kraju, w którym możemy o tym mówić i możemy organizować różne ruchy. Przykład Strajku Kobiet pokazuje skalę mobilizacji: masowy protest, który - mimo że nie przyniósł jeszcze zmian w prawie - był politycznie i społecznie donośny. W realiach PRL coś takiego byłoby nie do pomyślenia.

A jaki był światopogląd przeciętnej Polki?
Przede wszystkim ukształtowany przez katolicyzm, co widać w badaniach i źródłach dotyczących życia publicznego w PRL. Niewątpliwie kobiety były bardziej wierzące niż mężczyźni, a także bardziej zaangażowane w utrwalanie rytuałów i tradycji w domu.
Kobiety ponadto były bardziej skłonne do uczestnictwa w publicznych rytuałach religijnych. To one zwykle inicjowały lokalne wydarzenia o charakterze mirakularnym. Mam tu na myśli cuda, czyli np. przemianę obrazu (chociażby pojawiające się łzy na wizerunku Matki Bożej), pojawienie się nieoczywistego światła albo ukazanie się sylwetki Matki Bożej lub Jezusa w jakimś miejscu. Takich zjawisk w PRL było bardzo wiele. Papież Jan Paweł II dodatkowo wzmacniał potrzebę posiadania autorytetu duchowego niezależnego od polityki partii.
Trzeba pamiętać, że społeczeństwo PRL pozostawało w dużej mierze tradycyjne. W takim środowisku pozycja kobiet była ambiwalentna. Dzisiaj Kościół postrzegany jest jako instytucja opresyjna wobec kobiet, ale nie zawsze tak było. W PRL oferował on wielu kobietom poczucie bezpieczeństwa, wsparcia duchowego.

Czy w PRL kobiety miały szansę wyjść poza kuchnię, Kościół i dzieci?
Tak, a tym sposobem wyjścia była praca. Dla wielu kobiet była ona pierwszym doświadczeniem samodzielności. W latach 50. większość kobiet pochodziła ze środowisk społecznych, w których kobiety pracowały w domu. Praca zawodowa radykalnie zmieniła ich życie i stworzyła przestrzeń wolności. Dzięki własnym pieniądzom mogły się wyrwać się spod kontroli tradycyjnego społeczeństwa i konstelacji lokalnych męskich autorytetów. Po prostu pojawiła się większa przestrzeń wolności w ich życiu, którą przyniosła ze sobą praca.

Pracę jednak trudno jest pogodzić z obowiązkami domowymi...
Praca zaczyna być problemem, kiedy pojawia się rodzina. Kiedy żona nie może liczyć na to, że mąż pomoże jej w realizacji domowych obowiązków, musi pracować na dwa etaty - jeden właściwy, w pracy, a drugi w domu.
Dla kobiet łączenie pracy zawodowej z obowiązkami domowymi oznaczało chroniczne przemęczenie, izolację i osamotnienie. Formą ucieczki przed tym stawała się codzienna, nieformalna solidarność – sąsiadek, znajomych, przyjaciółek, które pomagały sobie w opiece nad dziećmi czy przy zakupach. Ta solidarność dotyczyła sfery prywatnej, bo kobiety były nadal zamknięte w przestrzeni, z której bardzo trudno było się wydostać.

KALENDARIUM

9 STYCZNIA

POLSKA

1919
Powstańcy wielkopolscy dokonali nalotu bombowego na lotnisko we Frankfurcie.

1943
Reichsführer-SS Heinrich Himmler dokonał inspekcji terenu warszawskiego getta, której efektem tzw. akcja styczniowa w dniach 18-22 stycznia, podczas której wywieziono do Treblinki ok. 6 tysięcy Żydów.

1944
Powstała Rada Jedności Narodowej.

1966
Władze PRL odmówiły wydania paszportu prymasowi kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu na wyjazd do Watykanu na obchody milenium chrztu Polski.

1986
W Gdańsku aresztowano działającego od 4 lat w ukryciu Bogdana Borusewicza.

ŚWIAT

1768
W Londynie odbyło się pierwsze nowożytne przedstawienie cyrkowe.

1797
Powstały Legiony Polskie we Włoszech.

1816
W kopalni w angielskim Hebburn przeprowadzono pierwsze testy bezpiecznej lampy górniczej (lampy Davy'ego).

1929
W Londynie po raz pierwszy zastosowano leczenie surową penicyliną.

1937
Wszedł do kin film animowany Don Donald z Kaczorem Donaldem występującym po raz pierwszy w głównej roli i ze zmienionym wizerunkiem.

2007
W San Francisco zaprezentowano iPhone'a.

ZDJĘCIE TYGODNIA

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Gdy tylko spadnie śnieg, to na pętli Głębokie w Szczecinie pojawiają się bajkowe rzeźby z białego puchu.
To prace pana Henryka Kalinowskiego, który od kilku lat lepi wyjatkowe figury. Szczecinianie są pod wrażeniem zimowej galerii i talentu autora. Przyjeżdżają z całego miasta, by podziwiać śnieżny zwierzyniec.

eprasa.pl c26f06339e

nasz REGION

REGION

Żegluga na Odrze zamknięta. Od dzisiaj obowiązuje całkowity zakaz żeglugi na wodach śródlądowych administrowanych przez RZGW Szczecin. Decyzja została podjęta w związku z pojawiającą się pokrywą lodową i zapowiadanymi dalszymi spadkami temperatur. Do akcji ruszają lodołamacze. W rejs po Odrze Zachodniej wybrał się „Dzik", przepłynął od bazy w Podjuchach do jazu w Widuchowej.

FOT. ARCHIWUM

DYŻURNY GŁOSU
Marek Jaszczyński,
tel. 601 742 819
Na naszych Czytelników czekamy w redakcji Głosu Szczecińskiego w Szczecinie przy al. Niepodległości 26/U1 oraz pod adresem: alarm@gs24.pl

Wchodzą na zamarzniętą taflę jeziora Głębokie. To skrajnie niebezpieczne

Marek Jaszczyński
Szczecin

Mimo ostrzeżeń, mieszkańcy wchodzą na zamarzniętą taflę jeziora Głębokie. Strażacy i ratownicy apelują o rozsądek lód jest bardzo niestabilny, a załamanie się tafli może skończyć się tragedią.

Na jeziorze Głębokim w Szczecinie od weekendu pojawiają się osoby spacerujące po lodzie. To wyjątkowo ryzykowne zachowanie. Choć powierzchnia jeziora może sprawiać wrażenie solidnej, w rzeczywistości lód jest nierównomierny i w wielu miejscach bardzo cienki.

Lód na zbiornikach nigdy nie jest jednorodny. Wystarczy chwila nieuwagi, by doszło do załamania tafli - ostrzegają ratownicy. Szczególnie niebezpieczne są okolice dopływów, odpływów oraz miejsca, gdzie występuje roślinność lub ruch wody. Służby przypominają, że bezpieczna grubość lodu, która pozwala na wejście jednej osoby, to co najmniej 10 centymetrów.

W przypadku załamania się lodu liczą się sekundy. Kontakt z lodowatą wodą powoduje szok termiczny, a wydostanie się z przerębla bez odpowiedniego sprzętu jest niezwykle trudne. Każda akcja ratunkowa wiąże się także z zagrożeniem dla samych ratowników.

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Wczoraj w jeziorze Głębokim ratownicy wodni ćwiczyli podejmowanie z wody osób, pod którymi załamał się lód

Z dawnych torów do nowego osiedla. Rusza inwestycja

Marek Jaszczyński
Szczecin

PFR Nieruchomości po raz pierwszy wchodzi do Szczecina z inwestycją w formule najmu instytucjonalnego. Przy ulicach Starkiewicza i Bocznej powstanie 330 mieszkań na wynajem. To początek dużego projektu, który ma odmienić poprzemysłowy fragment miasta.

WIZUALIZACJA PFR NIERUCHOMOŚCI

Zgodnie z harmonogramem, osiedle ma być gotowe w pierwszej połowie 2028 roku

Wraz z początkiem roku rusza budowa pierwszego etapu osiedla z mieszkaniami na wynajem w rejonie ulic Starkiewicza i Bocznej w Szczecinie. To debiut PFR Nieruchomości na lokalnym rynku oraz pierwsza w mieście inwestycja realizowana w formule PRS (Private Rented Sector). To znaczy, że najemcą może być jedynie podmiot prowadzący działalność gospodarczą w zakresie obrotu nieruchomości.

Projekt powstaje na blisko 6-hektarowej działce i jest wspólnym przedsięwzięciem Funduszu Sektora Mieszkań dla Rozwoju, zarządzanego przez PFR Nieruchomości, oraz PKP S.A. Fundusz finansuje całość prac projektowych i budowlanych, natomiast PKP S.A. wnosi do projektu grunt. Generalnym wykonawcą inwestycji jest spółka Pekabex BET S.A.

W pierwszym etapie zaplanowano budowę czterech sześciokondygnacyjnych budynków, w których powstanie 330 mieszkań. Dominować będą lokale dwu- i trzypokojowe, najczęściej wybierane przez najemców. Metraże mieszkań wyniosą od 25 do 74 metrów kwadratowych.

- Wejście do Szczecina to ważny krok w realizacji naszej strategii rozwoju najmu instytucjonalnego poza największymi aglomeracjami. To miasto z dużym potencjałem mieszkaniowym i rosnącym zapotrzebowaniem na stabilną, profesjonalną ofertę najmu - podkreśla Grzegorz Tomaszewski, prezes PFR Nieruchomości S.A.

Segment PRS funkcjonuje w Polsce od kilkunastu lat i obejmuje obecnie około 25 tys. mieszkań. Dotychczas inwestycje tego typu koncentrowały się głównie w największych miastach, takich jak Warszawa, Wrocław czy Kraków. Szczecin do tej pory pozostawał poza tym rynkiem.

Za realizację inwestycji odpowiada firma Pekabex BET S.A., która współpracuje z PFR Nieruchomości przy kolejnych projektach w całym kraju.

- Kontynuacja tego partnerstwa potwierdza, że prefabrykacja sprawdza się w praktyce - pozwala realizować inwestycje szybko, niezawodnie i z zachowaniem wysokiej jakości - mówi Robert Jędrzejowski, prezes zarządu Pekabex S.A.

Wejście do Szczecina to ważny krok w realizacji naszej strategii rozwoju najmu instytucjonalnego poza największymi aglomeracjami

Teren przy ul. Starkiewicza przez dekady pełnił funkcje techniczne i logistyczne, będąc zapleczem kolejowym miasta. Dziś wpisuje się w europejski trend rewitalizacji obszarów poprzemysłowych, które stopniowo wracają do miejskiej tkanki w nowej roli.

Dodajmy, że miejsce, gdzie ma powstać osiedle, posiada bogatą historię. Tu znajdowała się pierwsza stacja Pomorzany wybudowana w latach 90. XIX wieku. Wykorzystywana była głównie jako dworzec towarowy. Bhf. Pommerensdorf zbudowano przy ul. Starkiewicza 1, która nosiła wówczas nazwę Weidendammstrasse. Powstały bocznice, perony pasażerskie oraz perony dla wyładunku pociągów towarowych. ©℗

Nocne zbiory w Baniewicach. Z winogron powstanie wino lodowe

Andrzej Szkocki
Baniewice

Wczoraj nad ranem odbyły się w Winnicy Turnau jedne z najbardziej niezwykłych zbiorów na winiarskiej mapie Europy.

O czwartej nad ranem, w blasku latarek i reflektorów samochodów, pracownicy Winnicy Turnau rozpoczęli nocne zbiory zamarzniętych winogron. Seria siarczystych mrozów wreszcie spełniła warunki niezbędne do powstania wina lodowego – jednej z najbardziej fascynujących i wymagających kategorii w świecie wina.

Grona, pozostawione na krzewach od jesieni i chronione specjalnymi osłonami, musiały przetrwać do momentu, gdy temperatura przez trzy noce z rzędu spadnie do około -8°C. Dopiero wtedy, twarde jak kamień, mogły zostać zebrane. Pośpiech był kluczowy – cały proces, od zbiorów po tłoczenie, musiał odbywać się w ujemnej temperaturze. Efekt? Z 1162 kilogramów winogron uzyskano zaledwie 230 litrów gęstego, słodkiego i niezwykle esencjonalnego soku.

Tak niska, dwudziestoprocentowa wydajność nie odstrasza koneserów. Wina lodowe należą do najbardziej cenionych i najrzadszych, a Wino Lodowe Winnicy Turnau już wcześniej trafiło na prestiżową listę 50 słodkich win świata magazynu „La Revue du vin de France". Na renomę i cenę tych win wpływa nie tylko jakość, ale też bardzo ograniczona podaż. Dziś, w dobie zmian klimatycznych, to właśnie Polska coraz częściej przyciąga uwagę miłośników tej kategorii.

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Dzięki serii mroźnych nocy udało się zebrać ponad tysiąc kilogramów zamarzniętych na kamień gron

– Wino lodowe to wizytówka naszego regionu i ogromny kapitał wizerunkowy – podkreśla Jacek Turnau. Tegoroczna edycja powstanie z czerwonych gron cabernet cortis, choć zachowa jasną barwę. Planowanych jest około 600 butelek, a premiera rocznika 2025 odbędzie się w przyszłym roku. Wcześniej, już za miesiąc, do sprzedaży trafi rocznik 2024 – efekt zeszłorocznych, równie emocjonujących nocnych zbiorów. ©℗

eprasa.pl c26f06339e

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 9.01.2026

Kolejny wielki mistrz. Przed nami nowe multimedialne widowisko

Agata Maksymiuk
Szczecin

Po frekwencyjnym sukcesie immersyjnej wystawy poświęconej życiu i twórczości Vincenta van Gogha, kolejnym wielkim mistrzem, którego zobaczymy w Szczecinie będzie Gustav Klimt.

„Klimt - The Immersive Exhibition" to multimedialna opowieść o życiu i dorobku autora słynnego „Pocałunku" czy "Złotej Damy", nazywanej austriacką Mona Lisą. Wystawa połączy klasyczne reprodukcje dzieł z nowoczesnymi formami prezentacji - wielkoformatowymi projekcjami, animacją oraz elementami wirtualnej rzeczywistości.

Zwiedzający, podobnie jak w przypadku trwającej wystawy van Gogha, będą mogli zobaczyć zarówno precyzyjne kopie obrazów w skali 1:1, wykonane tradycyjnymi technikami, jak i cyfrowe interpretacje ponad 300 prac artysty.

Istotnym elementem ekspozycji jest strefa immersyjna, w której obrazy Klimta dosłownie otaczają widza, tworząc narrację opartą na ruchu, świetle i dźwięku. Całość dopełni ścieżka muzyczna autorstwa Zbigniewa Preisnera, jednego z najbardziej cenionych polskich kompozytorów.

Organizatorzy podkreślają, że ekspozycja została zaprojektowana tak, by była przystępna zarówno dla miłośników sztuki, jak i osób, które dopiero zaczynają swoją przygodę z malarstwem przełomu XIX i XX wieku.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wystawę będzie można obejrzeć już od 21 lutego w przestrzeni Digital Art Center w Szczecinie

Zielony Dwór znow trafi na sprzedaż. To kolejna próba

Marek Jaszczyński
Szczecin

Jeszcze w marcu 2026 roku miasto Szczecin chce ogłosić kolejny przetarg na sprzedaż zabytkowego zespołu dworsko-parkowego „Zielony Dwór" w Zdrojach. Kompleks, który przez lata funkcjonował jako największy dom dziecka w mieście, od ponad dekady stoi pusty i bezskutecznie czeka na nowego właściciela.

FOT. ARCHIWUM GS24.PL

Jedno jest pewne. Nieruchomość wymaga remontu, co będzie kosztować przyszłego właściciela ogromne sumy. Zdjęcie z listopada 2020 roku

Zielony Dwór przy ul. Walecznych 23 to miejsce o wyjątkowej historii. Przez lata działał tu największy w Szczecinie dom dziecka - mieszkało w nim nawet kilkaset dzieci. W 2007 roku doszło do głośnego konfliktu pomiędzy wychowawcami a dyrekcją placówki, co przyspieszyło decyzję miasta o likwidacji dużych domów dziecka. Władze postawiły wówczas na mniejsze placówki, zapewniające lepsze warunki wychowawcze. Ostatnia grupa wychowanków opuściła Zielony Dwór w lutym 2012 roku, przenosząc się do domu przy ul. Pokładowej.

Od tego czasu rozległy kompleks - obejmujący trzy budynki oraz ponad 90-hektarowy park - pozostaje niewykorzystany. W ciągu ostatnich kilkunastu lat miasto trzykrotnie próbowało sprzedać nieruchomość. Bezskutecznie. Pierwszy przetarg ogłoszono z ceną wywoławczą 12 mln zł, dwa kolejne opiewały na 9 mln zł. Żaden inwestor się nie zgłosił. Po nieudanych próbach zbycia nieruchomości miasto zdecydowało się na zmianę miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Plan „Zdroje Zielony Dwór" został uchwalony 10 września 2024 roku. Zgodnie z zapowiedziami, po jego przyjęciu miała ruszyć nowa procedura sprzedaży.

Jak wynika z odpowiedzi na interpelację radnego Romana Herczyńskiego z KO, przygotowania do przetargu są już w toku. Konieczne było przeprowadzenie podziałów geodezyjnych sąsiednich działek gminnych, które zostaną sprzedane łącznie z główną działką nr 107/4. Całość ma stworzyć jedną, większą nieruchomość inwestycyjną.

- Cena wywoławcza nieruchomości zostanie ustalona na podstawie jej wartości oszacowanej przez rzeczoznawcę majątkowego. Z uwagi na procedury budżetowe sporządzenie wyceny zostanie zlecone w styczniu 2026 roku - wyjaśnia Anna Szotkowska, zastępca prezydenta Szczecina.

Cena wywoławcza nieruchomości zostanie ustalona na podstawie jej wartości oszacowanej przez rzeczoznawcę majątkowego

Zielony Dwór jest wpisany do rejestru zabytków. Oznacza to, że przyszły nabywca będzie mógł ubiegać się o bonifikatę. Zgodnie z ustawą o gospodarce nieruchomościami, w przypadku złożenia odpowiedniego wniosku, obniżka ceny za część zabytkową może wynieść nawet 50 procent.

Ogłoszenie przetargu na sprzedaż Zielonego Dworu planowane jest na marzec 2026 roku.

Powstaje nowa „13", obwodnica Kołbaskowa i węzeł Szczecin Zachód

Marek Jaszczyński
Region

Trwają prace przy budowie II etapie obwodnicy Przecławia i Warzymic w ciągu DK13, obwodnicy Kołbaskowa oraz nowej infrastrukturze drogowej w rejonie przejścia granicznego. Inwestycję wartą 429 mln zł realizuje firma Budimex. Zakończenie robót planowane jest w 2028 roku.

Sprawdziliśmy, na jakim etapie są prowadzone prace przy jednej z najważniejszych inwestycji drogowych w tej części regionu. Chodzi o II etap obwodnicy Przecławia i Warzymic w ciągu DK13, obejmujący m.in. nowy węzeł na autostradzie A6, przyszłe połączenie z Zachodnią Obwodnicą Szczecina (S6) oraz obwodnicę Kołbaskowa.

- Obecnie na placu budowy drugiego etapu obwodnicy Warzymic i Przecławia prowadzone są przede wszystkim prace związane z przebudową istniejącej infrastruktury. Dotyczy to kolizji elektroenergetycznych, teletechnicznych oraz sieci sanitarnych. Równolegle realizowane są roboty zasadnicze, takie jak zdjęcie warstwy humusu oraz roboty ziemne na odcinku Moczyły - autostrada A6 - informuje Karolina Grzeszczyk z Budimex SA.

Jak dodaje, od 16 grudnia do 15 marca obowiązuje tzw. okres zimowy, w którym wykonawca nie ma kontraktowego obowiązku prowadzenia robót. - Przy sprzyjających warunkach atmosferycznych zakładamy jednak realizację części prac także w tym czasie - podkreśla przedstawicielka wykonawcy.

Brakujący fragment nowej DK13

II etap obwodnicy Przecławia i Warzymic obejmuje blisko 3-kilometrowy odcinek drogi. Trasa rozpocznie się w miejscu, gdzie kończy się oddany do użytku w 2023 roku I etap obwodnicy. Na południe od Przecławia powstanie węzeł Siadło Górne, który połączy DK13 z przyszłą Zachodnią Obwodnicą Szczecina.

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Ślad 2 etapu obwodnicy Warzymic i Przecławia

Dalej droga o parametrach ekspresowych - będąca wspólnym przebiegiem przyszłej S6 i DK13 - pobiegnie w kierunku autostrady A6, omijając od wschodu centrum logistyczne. Nowy węzeł na połączeniu z A6, dzięki łącznicom bezpośrednim i półbezpośrednim, zapewni sprawny i bezpieczny ruch pomiędzy autostradą a drogą ekspresową. Od strony południowej do węzła zostanie także włączona DK13 - obwodnica Kołbaskowa.

Obwodnica wyprowadzi ruch tranzytowy

Obecnie DK13 w kierunku przejścia granicznego w Rosówku przebiega przez Kołbaskowo. Na tym odcinku znajduje się wiele skrzyżowań i przejść dla pieszych, co znacząco wpływa na płynność ruchu.

Nowa trasa o długości 5,6 km rozpocznie się przy węźle Szczecin Zachód. Jednojezdniowa droga klasy GP (główna ruchu przyspieszonego) ominie Kołbaskowo od wschodu. Na skrzyżowaniu z drogą powiatową Kołbaskowo - Moczyły powstanie rondo, a dalej trasa pobiegnie w kierunku obecnej DK13 w Rosówku.

Na południe od Rosówka zaplanowano kolejne rondo, które połączy obwodnicę z dotychczasowym przebiegiem DK13. Ostatnie rondo powstanie około 300 metrów przed granicą polsko-niemiecką. Będzie łączyć nową DK13 z drogą powiatową w kierunku Kamieńca oraz infrastrukturą zlokalizowaną przy granicy.

Wiadukt i plac kontroli przy granicy

W rejonie granicy na autostradzie A6 brakuje obecnie możliwości zawracania - kolejny węzeł po stronie niemieckiej znajduje się aż 9,5 km dalej. Nie ma też odpowiednich miejsc do prowadzenia kontroli drogowych. Służby korzystają z dróg dojazdowych przy stacjach paliw.

Aby to zmienić, zaplanowano budowę wiaduktu nad autostradą A6, łącznic oraz jezdni manewrowych. Po południowej stronie autostrady powstanie także plac do kontroli z aktywnym oznakowaniem.

©℗

eprasa.pl c26f06339e

Chcemy wiedzieć, ile zarabiają nasi koledzy

Patrycja Zemła
patrycja.zemla@polskapress.pl

Aż 71 proc. Polaków popiera ujawnienie wynagrodzeń, a 9 na 10 oczekuje podania widełek płacowych już na etapie rekrutacji - wynika z raportu Manpower „Nastroje polskiego rynku pracy - perspektywa kandydatów 2025".

FOT. 123RF

Największe poparcie dla takiego rozwiązania deklarują młodsi, lepiej zarabiający pracownicy oraz osoby zatrudnione w dużych firmach. Niechętni do ujawnienia swoich widełek płacowych są zatrudnieni powyżej 60. roku życia oraz przedstawiciele wyższej kadry zarządzającej.

Poparcie dla jawnych płac częściej deklarują mężczyźni (72 proc.) niż kobiety (70 proc.). W grupie wiekowej 18-29 lat aż 80 proc. respondentów oczekuje jawności wynagrodzeń, podczas gdy wśród osób powyżej 60. roku życia odsetek ten spada do 20 proc. Zróżnicowanie widać także w zależności od dochodu - 77 proc. osób zarabiających powyżej 7.000 zł netto popiera jawność, w porównaniu do 31 proc. wśród pracowników z wynagrodzeniem do 3.000 zł. Biorąc pod uwagę zajmowane stanowiska, największe poparcie odnotowano wśród asystentów (75 proc.), a najmniejsze w gronie wyższej kadry zarządzającej (32 proc.). W dużych organizacjach, zatrudniających ponad 5.000 osób, za przejrzystością opowiada się 76 proc. badanych, natomiast w małych firmach do 49 pracowników jedynie 15 proc.

- Poparcie dla jawności wynagrodzeń wśród pracowników choć duże, jest mocno zróżnicowane. W największym stopniu wykazuje je młode pokolenie, dla którego transparentność stanowi element równości i sprawiedliwości w miejscu pracy. Dla przedstawicieli pokolenia Z, jawność wynagrodzeń to nie tylko dowód uczciwości i wiarygodności pracodawcy, to także narzędzie do walki z nierównościami płacowymi, szczególnie na tle płci, wieku czy pochodzenia. Nieco sceptyczniej do tego rozwiązania podchodzą osoby powyżej 60. roku życia, dla których finanse nadal pozostają tematem tabu. Większe poparcie dla jawności wynagrodzeń wykazują też osoby lepiej zarabiające, które nie obawiają się negatywnego porównania z innymi - mówi Anna Tietianiec, lider specjalizacji w Manpower

Ekspertka zauważa, że z mniejszym entuzjazmem do jawności wynagrodzenia podchodzi wyższa kadra zarządzająca, co może wynikać z odmiennej perspektywy, jaką przyjmuje osoba łącząca rolę pracownika i pracodawcy. - Menedżerowie często patrzą na transparentność wynagrodzeń nie tylko z punktu widzenia własnych zarobków, ale też z perspektywy zarządzania zespołem i polityką płacową w organizacji. Mogą postrzegać jawność płac jako potencjalne ograniczenie elastyczności w zarządzaniu wynagrodzeniami. Dodatkowo, jeśli w firmie występują znaczące dysproporcje w wynagrodzeniach, kierownictwo może obawiać się, że ujawnienie tych różnic doprowadzi do konfliktów i napięć w zespołach - dodaje Anna Tietianiec.

Widełki płacowe już w ogłoszeniu

Aż 92 proc. respondentów badania Manpower chce, aby widełki wynagrodzenia były podawane już na etapie rekrutacji. Tylko 2 proc. uczestników uważa, że nie jest to potrzebne. Największy odsetek zwolenników tego rozwiązania odnotowano wśród specjalistów (94 proc.), a najmniejszy wśród przedstawicieli wyższej kadry menedżerskiej (6 proc.). Poparcie dla tego postulatu częściej deklarują kobiety (94 proc.) niż mężczyźni (90 proc.). W ujęciu wiekowym największe zainteresowanie obserwuje się w grupie 40-49 lat (95 proc.), natomiast najmniejsze wśród osób powyżej 60. roku życia (4 proc.).

Zdaniem ekspertki, kandydaci coraz częściej traktują jawność płac jako element uczciwej komunikacji między pracodawcą a pracownikiem. - Podanie widełek już w ogłoszeniu rekrutacyjnym pozwala im realistycznie ocenić, czy oferta odpowiada ich oczekiwaniom i kwalifikacjom, a tym samym oszczędza czas obu stron. W warunkach rosnących kosztów życia wynagrodzenie stało się jednym z kluczowych kryteriów wyboru pracy. Kandydaci nie chcą tracić czasu na rozmowy rekrutacyjne, które mogą zakończyć się propozycją znacznie poniżej ich oczekiwań finansowych. Jawnych widełek wynagrodzeń już na etapie rekrutacji domagają się głównie specjaliści i osoby w wieku 40-49 lat. Są to osoby z większym doświadczeniem zawodowym, znające realia rynku i branży, w której pracują. Klarowne informacje dotyczące proponowanego wynagrodzenia pozwalają im porównać oferty i ocenić, czy wynagrodzenie jest adekwatne do oczekiwanych kompetencji i zakresu obowiązków. Niskie poparcie dla jawnych widełek płacowych wśród wyższej kadry menedżerskiej wynika przede wszystkim z charakteru ich roli w organizacji oraz specyfiki systemów wynagrodzeń na tym poziomie - podkreśla Anna Tietianiec.

Jawne płace na tych samych stanowiskach

Blisko trzy czwarte badanych (73 proc.) uważa, że wynagrodzenia osób zajmujących to samo stanowisko w organizacji powinny być jawne. Przeciwnego zdania jest jedynie 12 proc. ankietowanych. Największe poparcie dla tej idei wyraża średnia kadra menedżerska (76 proc.), podczas gdy wśród wyższego szczebla zarządzania poparcie wynosi 19 proc. W firmach zatrudniających od 1.000 do 4.999 osób poziom akceptacji dla jawnych płac jest najwyższy, sięgając 78 proc., natomiast w przedsiębiorstwach średnich i dużych - tylko 13 proc. Różnice między płciami są niewielkie, rozwiązanie to popiera 74 proc. kobiet i 72 proc. mężczyzn.

- Transparentność wynagrodzeń staje się nowym standardem, do którego rynek pracy będzie musiał stopniowo się dostosować. Co ciekawe, największymi zwolennikami tego rozwiązania jest średnia kadra menedżerska, a zatem grupa, która często odczuwa zarówno presję ze strony zarządu, jak i oczekiwania ze strony pracowników. Niskie poparcie dla jawności płac wśród wyższej kadry menedżerskiej, wynika z kilku czynników związanych zarówno z charakterem ich pracy, jak i z rolą, jaką pełnią w organizacji. Menedżerowie patrzą na transparentność płac z dwóch perspektyw, jako pracownicy i jako osoby odpowiedzialne za kształtowanie polityki wynagrodzeń. Z tego powodu często obawiają się, że ujawnienie różnic w zarobkach na podobnych stanowiskach może prowadzić do poczucia niesprawiedliwości. Dodatkowo system wynagrodzeń na poziomie zarządczym jest znacznie bardziej złożony, oprócz pensji podstawowej obejmuje premie, bonusy, udziały i dodatkowe świadczenia, które trudno jednoznacznie porównać - podsumowuje ekspertka Manpower.

REKLAMA 0011459400

Syndyk masy upadłości osoby fizycznej nieprowadzącej działalności gospodarczej Grzegorza Włocha sprzeda z wolnej ręki udział do 1/6 części w spółdzielczym własnościowym prawie do lokalu mieszkalnego położonego w Szczecinie przy ul. Unisławy 13/3, znajdującego się w zasobach Spółdzielni Mieszkaniowej „Śródmieście" w Szczecinie, dla którego nie została urządzona księga wieczysta za najwyższą zaoferowaną cenę, nie niższą niż 60% wartości oszacowania, tj. **17.400,00 zł (słownie: siedemnaście tysięcy czterysta złotych 00/100).**

Warunkiem uczestnictwa w procedurze sprzedaży jest wpłacenie wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej nieruchomości, której dotyczy oferta, na rachunek bankowy masy upadłości o numerze: **63 1240 3813 1111 0010 6511 5775** oraz złożenie ofert zgodnych z regulaminem, w terminie do dnia **23.01.2026 r. do godz. 15:00** (decyduje data wpływu). Pisemne oferty należy składać w zamkniętych kopertach z dopiskiem „Oferta. Nie otwierać. Sygn. akt SZ1S/GUp/38/2025 - nieruchomość" w dwóch egzemplarzach: jeden egzemplarz należy skierować do Biura Syndyka Natalii Leszczyńskiej przy ul. 5 Lipca 44/1, 70-374 Szczecin, drugi do Sędziego Komisarza na adres: Sąd Rejonowy Szczecin-Centrum XII Wydział Gospodarczy, ul. Narutowicza 19, 70-231 Szczecin.

Płatność ceny ma nastąpić przed podpisaniem umowy sprzedaży i bez dokonywania jakichkolwiek potrąceń. Wszelkie koszty związane ze sprzedażą ponosi kupujący.

Szczegółowe informacje udzielane są poprzez e-mail: sekretariat@kancelariaszczecin.eu

REKLAMA 0011459398

Syndyk masy upadłości osoby fizycznej nieprowadzącej działalności gospodarczej Katarzyny Kucy sprzeda z wolnej ręki udział do ½ części w prawie własności lokalu mieszkalnego numer 1 usytuowanego w budynku położonym w Szczecinie przy ul. Szrenickiej 5, o powierzchni użytkowej 78,05 m^2, wraz z udziałem w wysokości 371/10000 w częściach wspólnych budynku oraz w prawie własności działki gruntu objętych księgą wieczystą SZ1S/00122298/8, dla której to nieruchomości Sąd Rejonowy Szczecin-Prawobrzeże i Zachód X Wydział Ksiąg Wieczystych w Szczecinie prowadzi księgę wieczystą numer SZ1S/00258302/2 za najwyższą zaoferowaną cenę nie niższą niż 80% wartości oszacowania, tj. **264.800,00 zł (słownie: dwieście sześćdziesiąt cztery tysiące osiemset złotych).**

Warunkiem uczestnictwa w procedurze sprzedaży jest wpłacenie wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej nieruchomości, której dotyczy oferta na rachunek bankowy masy upadłości o numerze: **63 1240 3813 1111 0010 6511 5775** oraz złożenie ofert zgodnych z regulaminem, w terminie do dnia **23.01.2026 r. do godz. 15:00** (decyduje data wpływu). Pisemne oferty należy składać w zamkniętych kopertach z dopiskiem „Oferta. Nie otwierać. Sygn. akt SZ1S/GUp/73/2024 - nieruchomość" w dwóch egzemplarzach: jeden egzemplarz należy skierować do Biura Syndyka Natalii Leszczyńskiej przy ul. 5 Lipca 44/1, 70-374 Szczecin, drugi do Sędziego Komisarza na adres Sąd Rejonowy Szczecin-Centrum XII Wydział Gospodarczy, ul. Narutowicza 19, 70-231 Szczecin.

Płatność ceny ma nastąpić przed podpisaniem umowy sprzedaży i bez dokonywania jakichkolwiek potrąceń. Wszelkie koszty związane ze sprzedażą ponosi kupujący.

Szczegółowe informacje udzielane są poprzez e-mail: sekretariat@kancelariaszczecin.eu

REKLAMA 0011459399

Syndyk masy upadłości osoby fizycznej nieprowadzącej działalności gospodarczej Małgorzaty Abramczuk-Pajor sprzeda z wolnej ręki udział do ½ części w prawie własności nieruchomości gruntowej zabudowanej położonej w Kliniskach Wielkich przy ul. Złotej 36, jednostka ewidencyjna 320402_5, obręb ewidencyjny nr 0026, działka ewidencyjna nr 86/10, dla której Sąd Rejonowy w Goleniowie Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą KW nr SZ1O/00049137/3 za najwyższą zaoferowaną cenę nie niższą niż 80% wartości oszacowania, tj. **172.800,00 zł (sto siedemdziesiąt dwa tysiące osiemset złotych).**

Warunkiem uczestnictwa w procedurze sprzedaży jest wpłacenie wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej nieruchomości, której dotyczy oferta, na rachunek bankowy masy upadłości o numerze: **63 1240 3813 1111 0010 6511 5775** oraz złożenie ofert zgodnych z regulaminem, w terminie do dnia **23.01.2026 r. do godz. 15:00** (decyduje data wpływu). Pisemne oferty należy składać w zamkniętych kopertach z dopiskiem „Oferta. Nie otwierać. Sygn. akt SZ1S/GUp/38/2025 - nieruchomość" w dwóch egzemplarzach: jeden egzemplarz należy skierować do Biura Syndyka Natalii Leszczyńskiej przy ul. 5 Lipca 44/1, 70-374 Szczecin, drugi do Sędziego Komisarza na adres Sąd Rejonowy Szczecin-Centrum XII Wydział Gospodarczy, ul. Narutowicza 19, 70-231 Szczecin.

Płatność ceny ma nastąpić przed podpisaniem umowy sprzedaży i bez dokonywania jakichkolwiek potrąceń. Wszelkie koszty związane ze sprzedażą ponosi kupujący.

Szczegółowe informacje udzielane są poprzez e-mail: sekretariat@kancelariaszczecin.eu

eprasa.pl c26f06339e

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 9.01.2026

Skierowani do Polski przez Moskwę

Filip Musiał
Historia

„Zostałem po raz drugi skierowany do Polski latem 1944 roku przez Komitet Centralny K[omunistycznej] P[artii] Z[wiązku] R[adzieckiego] i obecnie po powrocie do ZSRR będę musiał zdać sprawę przed swoją Partią - jak się wywiązałem z powierzonych mi zadań za granicą" - pisał w listopadzie 1955 r. Mikołaj Orechwa do Bolesława Bieruta prosząc o opinię o swej działalności w ciągu jedenastu lat w Polsce pojałtańskiej

Odkąd powstał ruch komunistyczny, liczne narody musiały się mierzyć z działającymi na ich terenie grupkami czy środowiskami działaczy lewicowych, którzy odżegnywali się od narodowej tożsamości. Odrzucali tradycyjne związki z własną wspólnotą narodową, państwową czy religijną, uznając się za część międzynarodowego ruchu komunistycznego. W rzeczywistości od rewolucji bolszewickiej w Rosji europejskie środowiska komunistyczne były kontrolowane przez Kreml, a zrzeszeni w nich komuniści działali najczęściej w sowieckim interesie przeciwko własnym państwom i narodom. Tak było w Polsce, w czasie wojny z bolszewikami, gdy rodzimi komuniści nawoływali do dezercji z szeregów WP i oddania kraju w ręce Armii Czerwonej. Tak było i w kolejnych latach, gdy Komunistyczna Partia Polski działała w interesie Moskwy dążąc między innymi do oderwania Kresów i przyłączeni ich do sowieckich republik. Nie zmieniła tej postawy czystka w ruchu komunistycznym i likwidacja KPP przez Stalina w 1937 r. W czasie wojny komuniści wspierali politykę sowieckiego dyktatora, czego beneficjentami stali się po wojnie - obejmując z jego woli władzę w podbitym przez Armię Czerwoną kraju.

Delegaci

Komuniści zdominowali instytucje tworzonej przez Sowietów w Polsce powojennej władzy. W tym niezwykle ważne Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego.

Oddano je w ręce Stanisława Radkiewicza, Polaka pochodzącego z kresowego Polesia, który jeszcze jako nastolatek, na terenie Związku Sowieckiego, wstąpił do Komsomołu (młodzieżówki komunistycznej), a później Wszechrosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików). Jako członek WKP(b) został wysłany do pracy politycznej w Polsce w latach XX-lecia międzywojennego. Wydaje się, że z tej właśnie perspektywy należy patrzeć na jego postać. Sowieci traktowali go jako swojego człowieka. Członka WKP(b) skierowanego do pracy w Polsce - i w międzywojniu, i potem po roku 1944.

Jeden z jego zastępców Mieczysław Mietkowski (właśc. Mojżesz Bobrowicki, Żyd z Białegostoku) także - od 1929 r. - był członkiem WKP(b). Sowieci delegowali go przed wojną między innymi do pracy partyjnej w Austrii. Podczas likwidacji KPP był poza wszelkimi podejrzeniami, miał nawet wchodzić do grona komunistów, którzy mieli odbudować partię, ale nie doszło do tego w związku z podpisaniem paktu Ribbentrop-Mołotow i wybuchem II wojny światowej.

Takich ludzi nie traktowano w ruchu komunistycznym jak działaczy z Polski, ale jak „swoich", członków sowieckiej partii. A po wojnie powierzano im zadania na terenie pojałtańskiego państwa. Takich osób w MBP i w innych instytucjach „ludowej" Polski było rzecz jasna więcej.

Jednym z dobitnych przykładów takiej delegacji jest Mikołaj Orechwa. Białorusin z Wileńszczyzny, urodzony jeszcze pod zaborami w 1902 r. Jego rodzinna wieś w latach II Rzeczypospolitej leżała w woj. wileńskim. Jeszcze jako dziecko wyjechał z rodzicami do rosyjskiego Nowogrodu. Jako nastolatek wstąpił do Komsomołu, a później ochotniczo zgłosił się do Armii Czerwonej. „W roku [...] 1920 byłem na froncie przeciw biało-polakom - wspominał - i brałem udział w ofensywie na Warszawę". Po demobilizacji jesienią t.r. wstąpił do WKP(b). Pracował później po linii partyjnej w Nowogrodzie i Mińsku. Jak pisał „Z końcem roku 1924, przez odnośne partyjne instytucje zostałem wytypowany i skierowany do pracy partyjnej w Polsce". Działał w Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi w Wilnie, której jednym z celów była dezintegracja społeczeństwa na Kresach i dążenie do przyłączenia tych ziem do sowieckiej Białoruskiej Republiki Socjalistycznej. W latach 1926-1930 za nielegalną w II RP działalność komunistyczną był skazany i osadzony w więzieniu. Po wyjściu na wolność powrócił do ZSRS i został skierowany na kurs do Międzynarodowej Szkoły Leninowskiej. Na teren Polski kierowany był jeszcze dwukrotnie w latach 1934-1935 i w 1936 r. Potem komuniści delegowali go do pracy partyjnej w Pradze. Aresztowany na krótko przez Niemców, z końcem 1939 r. dotarł do Związku Sowieckiego, w którym spędził wojnę - bez zaangażowania partyjnego. Następnie, jak pisał, „W roku 1944 (maj) zostałem wezwany do Moskwy - i przez odnośne instancje skierowany ponownie do pracy w Polsce, gdzie wraz z szeregiem innych ludzi zostałem przydzielony do Resortu Bezpieczeństwa Publicznego od pierwszej chwili jego powstania". Przez kolejne lata - do stycznia 1956 r. - kierował pionem kadrowym Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a później Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego. Był jednym z najważniejszych funkcjonariuszy bezpieki - chociaż nie był publicznie znany. Odpowiadał za politykę kadrową ministerstwa zatrudniającego kilkadziesiąt tysięcy osób. Później wrócił do ZSRS i pracował Instytucie Historii Partii w Mińsku.

FOT. IPN

Ludwik Sielicki, jeden z sowieckich oficerów oddelegowanych do pracy w aparacie represji w Polsce

Nasadzeni

Obok delegowanych do Polski pojałtańskiej działaczy WKP(b) byli też oficerowie sowieckiej Armii Czerwonej czy innych służb, których skierowano do pracy w MBP, by wzmocnili słabe kadry rodzimej bezpieki. Jedną z taki osób był Wiktor Biełych - Rosjanin. Pisano o nim, że „jest obywatelem Związku Radzieckiego i oficerem Armii Radzieckiej". Pierwotnie z sowieckiego kontrwywiadu, czyli Smiersza, został skierowany do Informacji Wojskowej (a więc policji politycznej) w armii Berlinga, później do Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a następnie Wojsk Ochrony Pogranicza. W latach 1951-1954 był wicedyrektorem Departamentu IV, a potem IX MBP - zajmował się operacyjną ochroną obiektów o specjalnym znaczeniu. W 1954 r. z jego aktami osobowymi zapoznał się przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (czyli późniejszego KGB) Związku Sowieckiego. Jak relacjonował dyrektor Departamentu Kadr Mikołaj Orechwa „Ów przedstawiciel MWD [Ministierstwa Wnutriennych Dieł] oświadczył, że akta osobowe na ppłk. Biełych zostały założone bezpodstawnie, gdyż takowe na niego posiada Zarząd Kadr MWD, natomiast tutaj, jako na oficera K[ontr]W[wywiadu] przebywającego w delegacji służbowej, można sporządzić informację uwzględniającą jego krótkie dane personalne oraz materiały charakteryzujące z pracy na zajmowanych stanowiskach". W 1954 r. wrócił do ZSRS, a przytoczony dokument wyjątkowo trafnie ukazuje istotę kierowania sowieckich funkcjonariuszy do rodzimej bezpieki.

Innym krasnoarmiejcem skierowanym do MBP był Jan Śnigir - Białorusin, inżynier radiotechnik, dyrektor Departamentu II MBP. Z Armii Czerwonej, w której służył od 1932 r., został w 1944 r. przeniesiony na szefa Wydziału Łączności komunistycznego Polskiego Sztabu Partyzanckiego, a stamtąd trafił do bezpieki. Już jednak w 1947 r. wrócił do ZSRS. Z końcem 1946 r. pisał do Radkiewicza: „Proszę o skierowanie do mnie w jak najkrótszy czas zastępca żeby mógł prędzej jego zaznajomić z pracą departamentu, a poza tym prosić o skierowanie mnie do Związku Radzieckiego. Pracować mnie tu ciężko i to z powodu niesłusznych stosunków do mnie" [pisownia oryginalna].

Nieco inna była sytuacja Ludwika Sielickiego, który identyfikował się jako Polak. Był pułkownikiem Armii Czerwonej, który najpierw, w 1944 r., trafił do Milicji Obywatelskiej, a następnie, od kwietnia 1945 do czerwca 1948 r., pełnił różne funkcje kierownicze w MBP. Później wyjechał do ZSRS.

Latem 1946 r. Sielicki został wycofany z pracy operacyjnej, powierzono mu kierowanie Wydziałem Ochrony Rządu. Zmiana ta była wynikiem skandalu obyczajowego, do którego doszło w jednym z łódzkich hoteli z udziałem Sielickiego, jego agenta i dwóch kobiet, rzekomo potencjalnych informatorek. Ówczesne tłumaczenia Sielickiego są świadectwem m.in. jego tożsamości: „Muszę przyznać, że ja jako odpowiedzialny pracownik, a tym bardziej członek partii, nie miałem prawa tak postempywać jak to było w Łodzi. [...] Zapewniam, że nie jest gniłym i moralnie rozłożonym człowiekiem. Swoją pracą na froncie walki z reakcją udowodnię, że był i zostaję Bolszewikiem" [pisownia oryginalna].

Osoby kierowane do MBP prezentowały różny poziom - łączyło je jedno: zostali odesłani do bezpieki przez Sowietów tworzących komunistyczną władzę w Polsce. Jedni odegrali w strukturach aparatu represji istotną rolę, inni szybko wrócili do ZSRS. Wszyscy są świadectwem podległości „ludowej" Polski i jej instytucji - Moskwie.

eprasa.pl c26f06339e

POLSKA *i* ŚWIAT

KRÓTKO

PIASECZNO

Dymisja po gwałcie na policjantce

Po tym, jak na jaw wyszły informacje dotyczące gwałtu na policjantce na terenie warszawskiego oddziału prewencji w Piasecznie, zdymisjonowany został zastępca dowódcy warszawskiego oddziału prewencji policji w Piasecznie. Informację tę podał RMF24.pl.

Wcześniej w tej jednostce miało dojść do gwałtu oraz innej czynności seksualnej na policjantce.

Powodem dymisji jest nienależyty nadzór nad podwładnymi.

O sprawie w środę, 8 stycznia, poinformowała jako pierwsza Telewizja Republika. W jednostce policji w Piasecznie miało dojść do libacji alkoholowej, po czym jeden z funkcjonariuszy miał zgwałcić młodszą koleżankę oraz zmusić ją do innej czynności seksualnej.

Podejrzany o dokonanie tego czynu został zawieszony w czynnościach służbowych, a sąd zdecydował o jego tymczasowym aresztowaniu na trzy miesiące.

WARSZAWA

Pierwsze posiedzenie Senatu

FOT. PAP/PIOTR NOWAK

Senat, który wczoraj o godz. 11 rozpoczął posiedzenie, zajął się m.in. ustawą o rynku kryptoaktywów, wprowadzającą nadzór KNF nad tym rynkiem, oraz nowelą Kodeksu wyborczego umożliwiającą elektroniczne zbieranie podpisów dla kandydatów w wyborach powszechnych.

AUGUSTÓW

Dźgnął nożem 6-letnią córkę

Sąd Rejonowy w Augustowie aresztował na trzy miesiące 41-latka, który dźgnął nożem swoją sześcioletnią córkę.

Prokuratura poinformowała PAP, że do próby zabójstwa doszło 29 grudnia 2025 r. w Augustowie. 41-letni mężczyzna przyszedł do mieszkania byłej partnerki, w którym przebywały jego dzieci. Policja ustaliła, że wizyta mężczyzny nie wzbudziła niepokoju kobiety, gdyż mężczyzna regularnie przychodził w odwiedziny. Jednak tym razem chwycił nóż kuchenny i zaatakował swoją sześcioletnią córkę. Dziewczynka trafiła do szpitala. Augustowski sąd aresztował mężczyznę na trzy miesiące. Sąd też postanowił umieścić go w zakładzie psychiatrycznym. Grozi mu kara dożywotniego więzienia.

SŁOWO ROKU 2025

Decyzją kapituły Słowem Roku 2025 został „dron", na drugim miejscu znalazło się „weto", a na trzecim – „kosmos". Z kolei w plebiscycie internautów zwyciężył „kosmos", drugi był „dron", trzecie – „weto". Plebiscyt organizowany jest przez Instytut Języka Polskiego UW oraz Fundację Języka Polskiego od 15 lat. Co roku wybierane są w nim słowa, które najlepiej odzwierciedlają ważne tematy i wydarzenia minionych 12 miesięcy.

„Projekt związków partnerskich wejdzie prawdopodobnie na pierwsze lutowe posiedzenie Sejmu

Włodzimierz Czarzasty marszałek Sejmu

Spotkanie prezydenta z premierem. Będzie przełom?

Dorota Kowalska
Warszawa

Relacje między prezydentem a ekipą rządzącą od początku nie należały do łatwych. Spotkanie Karola Nawrockiego z Donaldem Tuskiem może choć trochę ostudzić złe emocje, zwłaszcza że Polacy mają już dość tego ciągłego politycznego sporu.

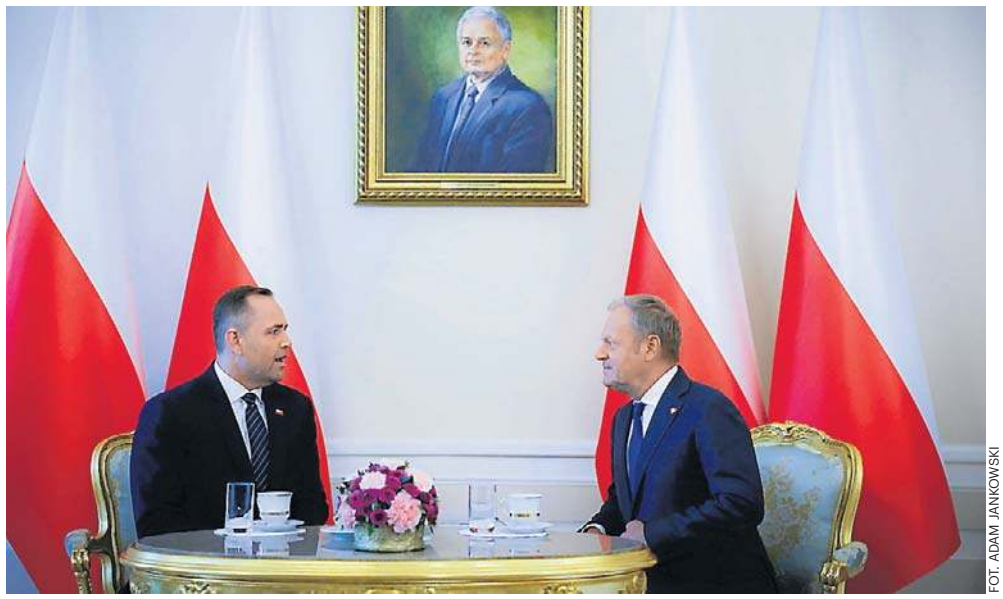

FOT. ADAM JANKOWSKI

Ostatnio prezydent Karol Nawrocki i premier Donald Tusk spotkali się w sierpniu ub. roku

To może być ważny moment w relacjach Pałac Prezydencki - Kancelaria Premiera. Jeszcze w tym tygodniu, prawdopodobnie dzisiaj, premier Donald Tusk spotka się z prezydentem Karolem Nawrockim. Panowie mają rozmawiać o gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy po zawieszeniu broni, sporach o nominacje ambasadorskie, w tym kandydatury Bogdana Klicha i Ryszarda Schnepfa, ale tematów, które powinni omówić, jest dużo więcej.

- Liczę, że prezydent Nawrocki skończy pięciomiesięczną politykę sabotażu działań rządu, zwłaszcza w sprawach, które są dla państwa polskiego w tej chwili najważniejsze, czyli w sprawach zagranicznych i bezpieczeństwa - mówił w Porannej rozmowie w RMF FM Marcin Bosacki, wiceszef MSZ i poseł Koalicji Obywatelskiej.

Stwierdził, że prezydent od miesięcy unika kontaktu z przedstawicielami Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Od równo trzech miesięcy prezydent Nawrocki nie odpowiada na propozycję kompromisu w sprawie ambasadorów, sformułowaną na piśmie przez ministra Sikorskiego, po osobistej zresztą rozmowie między oboma panami. Miejmy nadzieję, że tego typu działania sabotujące się skończą - dodał Bosacki.

Dopytywany, w jaki sposób premier Donald Tusk chce dogadać się z prezydentem, podkreślił, że padnie zapewne „daleko idąca propozycja kompromisowa", podobna do tej, jaką przedstawił już minister Sikorski.

- Rozumiemy spory polityczne, ale w kwestiach dla Polski najważniejszych, czyli bezpieczeństwa (...) i nowej polityki Stanów Zjednoczonych, (...) wreszcie będzie otwarcie i rozmowa dorosłych ludzi o najważniejszych problemach Polski - podsumował wiceminister.

Z kolei wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka, także wczoraj rano w stacji RMF24, wezwał prezydenta Karola Nawrockiego, by ten podpisał ustawę o usługach cyfrowych (będącą implementacją unijnego rozporządzenia DSA, Digital Services Act).

- Dzisiaj platformy cyfrowe działają bez jakiejkolwiek kontroli państwa. Mam głęboką nadzieję, że prezydent podpisze ustawę o usługach cyfrowych. To dobra ustawa - przekonywał Gramatyka, dodając, że w Senacie została ona jeszcze poprawiona.

Gramatyka zapewnił jednocześnie, że minister cyfryzacji, wicepremier Krzysztof Gawkowski jest „do dyspozycji prezydenta".

Jednym z głównych i wzbudzających największe kontrowersje zapisów ustawy jest wprowadzenie zasad moderacji treści w internecie.

- Dziś treści są usuwane na mocy decyzji samych platform. Znikają posty, komentarze, czasem całe profile (jak kiedyś Konfederacji). Polskie państwo nie miało żadnego startu do tych platform - mówił Gramatyka.

Podkreślił, że jeśli nowe prawo weszłoby w życie, to od każdej takiej decyzji przysługiwałoby odwołanie do organu państwowego, konkretnie Urzędu Komunikacji Elektronicznej, gdzie został stworzony specjalny departament.

Wiceminister odpierał również zarzuty niektórych polityków (wymienił tu Konfederację), że UKE będzie mogło stosować cenzurę.

- Żadnej cenzury nie będzie. Co więcej, tak poprawiliśmy ustawę w Senacie, by decyzja prezesa Urzędu nie była od razu wykonywana - tłumaczył.

Gramatyka wyjaśnił, że jeśli UKE oflaguje jakąś treść i zwróci uwagę platformie cyfrowej, to jeśli użytkownik zwróci się do sądu, to dana publikacja nie będzie mogła zostać usunięta.

To tylko kilka spraw, które należy załatwić, a przecież na akceptację prezydenta Nawrockiego czekają kolejne ustawy, choćby ta o związkach partnerskich. Szef gabinetu prezydenta Paweł Szefernaker już zapowiedział, że jeśli ta ustawa trafi na biurko Karola Nawrockiego, ten jej nie podpisze. Według prezydenckiego ministra nowe przepisy zrównują związki partnerskie z małżeństwem, a na to nie ma zgody.

Tymczasem, według sondaży Polacy mają już dość sporu na linii prezydent Nawrocki - rząd.

Karol Nawrocki otwarcie mówi, że Donald Tusk jest najgorszym premierem w historii III RP, co niczego dobrego ich relacjom nie wróży

O to, jak napięta atmosfera między premierem a prezydentem wpływa na państwo, zapytano w sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski.

„Czy Pana/i zdaniem konflikt pomiędzy premierem Donaldem Tuskiem a prezydentem Karolem Nawrockim prowadzi do paraliżu państwa i uniemożliwia wprowadzanie koniecznych reform?" - brzmiało pytanie.

Zdecydowana większość respondentów - w sumie aż 76 proc. - odpowiedziała na nie twierdząco. O tym, że kłótnie na szczycie działają na niekorzyść państwa, przekonanych było 34 proc. ankietowanych, a odpowiedź „raczej tak" wybrało 42 proc. uczestników badania.

Co ciekawe, Polacy nie wierzą jednak, że stosunki między dwoma pałacami ulegną poprawie.

Z badania United Surveys by IBRiS na zlecenie Wirtualnej Polski, przeprowadzonego zaledwie dwa dni temu wynika, że 84,8 proc. ankietowanych przewiduje złe relacje między Donaldem Tuskiem a Karolem Nawrockim. Najczęściej wskazywaną odpowiedzią było stwierdzenie, że relacje prezydenta z premierem będą „zdecydowanie złe", co zadeklarowało 44,3 proc. badanych. Kolejne 40,5 proc. uważa, że będą „raczej złe".

Wiarę w dobrą współpracę deklaruje jedynie 10,6 proc. respondentów.

Współpraca Adam Kielar

eprasa.pl c26f06339e

Strzelanina przed kościołem mormonów w Salt Lake City. Nie żyją dwie osoby

Oprac. Anna Nagel
USA

W środę wieczorem na parkingu przed kaplicą mormonów rozległy sie strzały. Zginęły dwie osoby.

Dwie osoby zginęły, a sześć zostało rannych w strzelaninie, do której doszło w środę wieczorem czasu miejscowego na parkingu przed kaplicą Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich w Salt Lake City w stanie Utah - poinformowały lokalne media i policja.

Trzy osoby są w stanie krytycznym, a stan trzech innych ofiar jest nieznany, ponieważ zostały przewiezione do placówek medycznych przez osoby prywatne - poinformował rzecznik policji w Salt Lake City. Dodał, że sytuacja jest wciąż napięta.

„W kościele odbywał się pogrzeb" - powiedział reporterom rzecznik. „Na parkingu doszło do jakiejś sprzeczki i wtedy padły strzały".

Władze poinformowały, że żaden podejrzany nie został zatrzymany, ale policja rozpoczęła obławę.

Miejscowe biuro FBI oświadczyło na X: „Jesteśmy świadomi incydentu w Salt Lake City i oferujemy pomoc naszym partnerom z organów ścigania".

W Salt Lake City znajduje się główna siedziba Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, zwanego powszechnie Kościołem mormonów. PAP

FOT. HANNAH SCHOENBAUM/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Władze poinformowały, że żaden podejrzany nie został zatrzymany, ale policja rozpoczęła obławę

Francuscy rolnicy mówią „nie" umowie UE z krajami Mercosuru

Oprac. Anna Nagel
Francja

Rolnicy z południowej Francji wjechali wczoraj rano kilkudziesięcioma traktorami na ulice Paryża, aby zaprotestować przeciw planowanemu zawarciu umowy handlowej między Unią Europejską a południowoamerykańskim blokiem Mercosur. Część pojazdów zaparkowała pod Wieżą Eiffla.

- Jeżdżą po Paryżu, a zwłaszcza przejeżdżają przez Pola Elizejskie - powiedział agencji AFP rzecznik związku zawodowego Koordynacja Obszarów Wiejskich (CR).

FOT. PAP/EPA

Francuscy rolnicy zablokowali traktorami rondo na Polach Elizejskich podczas demonstracji w ramach ogólnokrajowego dnia protestów i działań zwołanych przez kilka związków rolniczych

Protest przeciwko umowie

Związkowcy chcą w ten sposób zaprotestować w szczególności przeciwko umowie z krajami Mercosuru, ale też przeciw grudniowym działaniom rządu w sprawie epidemii choroby guzowatej skóry bydła (LSD).

Prezes CR w Oksytanii Bertrand Venteau zapowiedział, że zamierza „w sposób pokojowy" przedstawić żądania francuskim parlamentarzystom i w symbolicznych miejscach Paryża, nawet jeśli oznaczałoby to, że połowa uczestników protestu „trafi w ręce policji". Dodał, że rolnicy biorący udział w proteście chcą pozostać w stolicy jak najdłużej. Zapewnił, że nie przyjechali po to, aby „niszczyć".

- To, czego chcielibyśmy przede wszystkim, to zobaczyć się z przewodniczącymi Zgromadzenia Narodowego (niższej izby parlamentu) i Senatu - dodał Venteau. Skrytykował „zbyt wielką liczbę przepisów", mówił też o parlamentarzystach, którzy od 30 lat „zabijają francuskie rolnictwo".

Zarządzenie paryskiej prefektury zabrania ciągnikom wjazdu do niektórych newralgicznych obszarów stolicy obejmujących teren Pałacu Elizejskiego oraz siedzib rządu, parlamentu i ministerstwa rolnictwa - podała AFP.

Rzeczniczka rządu Francji Maud Bregeon powiedziała w czwartek, że akcje protestu podjęte przez rolników, w tym blokowanie autostrad i próba przedostania się pod parlament, są nielegalne.

Co zakłada umowa?

Umowa o wolnym handlu między Unią Europejską a Mercosurem ma wprowadzić preferencje handlowe dla wybranych produktów rolnych z Brazylii, Argentyny, Paragwaju i Urugwaju. W zamian Mercosur ma otworzyć się na unijny przemysł. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen chciała oficjalnie podpisać umowę w Brazylii pod koniec grudnia, ale nie uzyskała niezbędnego poparcia ze strony państw członkowskich UE.

Protestują przeciwko umowie z krajami Mercosuru, ale też przeciw działaniom rządu ws. epidemii choroby guzowatej skóry bydła

Umowa jest postrzegana przez KE i część państw Unii jako szansa na zróżnicowanie partnerów handlowych wobec coraz bardziej asertywnej postawy Stanów Zjednoczonych i Chin. Porozumieniu sprzeciwiają się Polska i Francja, sceptyczne wobec umowy są też Włochy. PAP

Po zastrzeleniu kobiety szkoły odwołały zajęcia

Oprac. Anna Nagel
USA

Szkoły w Minneapolis w USA odwołały zajęcia w czwartek i piątek po tym, jak w środę funkcjonariusz służb imigracyjnych (ICE) zastrzelił w mieście kobietę protestującą przeciw akcjom deportacyjnym.

W środowy wieczór setki mieszkańców miasta uczestniczyły w czuwaniu po zastrzelonej kobiecie. Mniejsze zgromadzenia, w tym marsze, które według miejscowych mediów przebiegły w sposób pokojowy, odbyły się również w innych miejscowościach w Minnesocie.

37-letnia Macklin Good zginęła w środę podczas szeroko zakrojonej akcji deportacyjnej. Na nagraniach wideo wykonanych przez świadków widać funkcjonariusza podchodzącego do stojącego na środku ulicy auta. Następnie chwyta on za klamkę i żąda od przebywającej w środku Good, by otworzyła drzwi. Na filmie widać, jak samochód rusza, a inny funkcjonariusz ICE, stojący przed samochodem, wyciąga broń i oddaje co najmniej dwa strzały z bliskiej odległości, po czym odskakuje, gdy pojazd się do niego zbliża.

Lokalna policja podała, że kobieta została postrzelona w głowę i zmarła po przewiezieniu do szpitala. Sprawę przejęło FBI oraz stanowe organy śledcze.

Jeden ze świadków zdarzenia powiedział publicznej radiostacji MPR, że ofiara „nie stanowiła absolutnie żadnego zagrożenia dla żadnego z agentów".
PAP

Papież Leon XIV do kardynałów: konsystorz nie jest spotkaniem zespołu ekspertów

Oprac. Karolina Wrońska
Watykan

Papież Leon XIV powiedział wczoraj kardynałom z całego świata przybyłym na nadzwyczajny konsystorz, że nie jest to spotkanie zespołu ekspertów, w trakcie którego należy promować osobiste lub grupowe plany działania.

W homilii w Bazylice Świętego Piotra papież zauważył, że konsystorz jest wyrazem jedności w służbie Kościołowi.

- Ważne na każdej drodze życia jest zatrzymanie się, aby się pomodlić, słuchać, rozważać, i w ten sposób coraz lepiej skupiać spojrzenie na celu, kierując ku niemu wszelkie wysiłki i zasoby, aby nie groziło nam biegnięcie na oślep lub zadawanie ciosów w próżnię - powiedział Leon XIV. - Nie jesteśmy tu bowiem po to, aby promować plany działania, osobiste lub grupowe, ale by powierzyć nasze projekty i inspiracje ocenie rozeznania, które nas przewyższa - dodał.

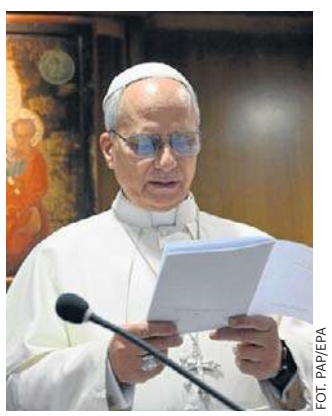
FOT. PAP/EPA

Papież Leon XIV

Papież zaznaczył, że Kolegium Kardynalskie, choć bogate w wiele kompetencji i znaczących talentów, nie jest powołane do tego, aby było przede wszystkim zespołem ekspertów, lecz wspólnotą wiary.

- Nasze zatrzymanie się jest zatem przede wszystkim wielkim aktem miłości wobec Boga, Kościoła oraz mężczyzn i kobiet na całym świecie, poprzez który pozwalamy się kształtować Duchowi Świętemu - oświadczył.

Papież podkreślił, że także całe Kolegium Kardynalskie wraz z nim może czuć się niezdolne i pozbawione środków, „stojąc wielkim tłumem ludzkości spragnionej dobra i pokoju w świecie, w którym sytość i głód, dostatek i nędza, walka o przetrwanie i rozpaczliwa egzystencjalna pustka nadal dzielą i ranią ludzi, narody i wspólnoty".

- Nie zawsze uda nam się znaleźć niezwłoczne rozwiązania problemów, z którymi musimy się zmierzyć. Zawsze jednak, w każdym miejscu i w każdej sytuacji, możemy pomagać sobie nawzajem, a w szczególności pomagać papieżowi - stwierdził.

W nadzwyczajnym konsystorzu, który zakończył się w czwartek, uczestniczyli kardynałowie z Polski. To papieski jałmużnik Konrad Krajewski, metropolita krakowski Grzegorz Ryś, emerytowany metropolita Warszawy Kazimierz Nycz, emerytowany metropolita krakowski Stanisław Dziwisz i były archiprezbiter Bazyliki Matki Bożej Większej Stanisław Ryłko.

Wśród tematów narady Leona XIV z purpuratami były reformy papieża Franciszka, rola Kurii Rzymskiej, kwestie liturgii.
PAP

eprasa.pl c26f06339e

KOSZALIN/SŁUPSK/SZCZECIN

tygodnik Regionów

Piątek, 9.01.2026

REPORTAŻ
Nocny dyżur w pogotowiu ratunkowym. Święta to trudny okres **str. 12-13**

OKLASKI
Krystian Sibiński z Główczyc stworzył świąteczny film **str. 14**

ROZMOWA
Piotr Biernat po 25 latach w Kanadzie wrócił do Szczecina **str. 15**

DO POCZYTANIA
Choć wolne dni już za nami, to czas na książkę warto mieć zawsze **str. 16**

FOT. ŁUKASZ CAPAR

Po drugiej stronie książki jest jej autorka. Poznajcie Agatę Bartoszek-Gaj

Na co dzień pracuje w szkolnej bibliotece i organizuje literackie imprezy. W czasie wolnym pisze poezję i prozę. Jej pasją są też fitnes i podróże na Junaku **str. 10-11**

eprasa.pl c26f06339e

Po drugiej stronie książki, czyli co autorka miała, a czego nie miała na myśli

Anna Czerny-Marecka
Słupsk

Rozmowa z Agatą Bartoszek-Gaj, słupską pisarką i poetką, nauczycielką języka polskiego i bibliotekarką, z okazji wydania jej najnowszej książki i 10-lecia pracy twórczej.

Na księgarskie półki właśnie trafiła Twoja najnowsza książka „Po drugiej stronie mężczyzny" – zbiór opowiadań o dziesięciu znanych parach z różnych okresów historycznych. W świetle reflektorów stawiasz kobietę. Co wpisuje się w całą Twoją twórczość, w której często dajesz głos właśnie kobietom i pokazujesz ich cierpienie spowodowane przez mężczyzn i złe związki. A jednak we wstępie do najnowszej książki piszesz tak: „(...) historia świata mierzona jest przede wszystkim siłą męskich osiągnięć. (...) Taki jest porządek natury. My, kobiety, nie zmienimy go i chyba zawsze będziemy stać po drugiej stronie mężczyzny. (....) Na szczęście miejsce wobec was wtórne jest dla nas najlepszym z możliwych. Dlaczego? Bo dzięki niemu nadal będziemy mogły być mniej odpowiedzialne za los wszechświata, a to zapewne (ugruntuje!) nam dłuższe życie". Odczytałam to jako ironię, ale zwątpiłam, czytając takie zdanie z posłowia: „Apeluję o otwarcie się na literacką zabawę i porzucenie pokusy ideologizowania (a zwłaszcza feminizowania) zapisanych tu treści". Nie lubisz feminizmu? Godzisz się na patriarchalny porządek?

Lubię feminizm wtedy, gdy potrafi się śmiać – także z siebie. A nie lubię go wtedy, gdy traci poczucie humoru i zamienia się w instrukcję obsługi świata. Ten fragment wstępu to oczywiście ironia, ale ironia podszyta doświadczeniem: przez wieki historia była mierzona cudzym mieczem, cudzym podpisem i cudzym ego, a kobiety stały „obok", „za", „po drugiej stronie". Nie dlatego, że tak chciały, tylko dlatego, że tak je ustawiono. Drugoplanowa rola kobiet w historii i kulturze nie wynikała z jednego źródła ani z prostego braku ambicji czy talentu. Była efektem splotu czynników biologicznych, społecznych i kulturowych, które przez stulecia wzajemnie się wzmacniały. Najpierw zadecydowała praktyka: świat pierwotnych wspólnot opierał się na sile fizycznej, mobilności i gotowości do walki. Ciąża, poród i opieka nad dziećmi – nie jako „los", lecz jako realne ograniczenie – lokowały kobiety bliżej centrum życia domowego niż publicznego. Z czasem to, co było koniecznością, zaczęto uznawać za normę, a normę za naturalny porządek rzeczy. Nie bez znaczenia był też wymiar symboliczny. Kultura Zachodu przez wieki opierała się na opozycjach: rozum – emocje, kultura – natura, duch – ciało. Kobiety przypisywano tej drugiej stronie pary – bliższej naturze, cielesności, zmienności. To, co zmienne i kruche, rzadko bywa uznawane za godne pomnika. W efekcie kobiecość stała się inspiracją, muzą, metaforą, ale rzadziej podmiotem opowieści. Drugoplanowość kobiet była więc nie tyle wykluczeniem, co systemowym przesunięciem w stronę „zaplecza" świata. Kobiety miały podtrzymywać ciągłość, a nie zakłócać ją widocznością. Dopiero współczesna perspektywa pozwala zobaczyć, że to zaplecze było fundamentem – niewidzialnym, ale niezbędnym. A historia i kultura, które zaczynają ten fundament dostrzegać, nie tyle rewidują przeszłość, co wreszcie opowiadają ją pełniej. Nie godzę się na patriarchat jako system, ale przyglądam mu się z ciekawością pisarki. Literatura nie jest od wydawania certyfikatów moralnej poprawności ani od budowania ideologicznych barykad. Jest od zadawania niewygodnych pytań, od paradoksu i od zabawy formą. Gdy proszę o „nieideologizowanie" tekstu, proszę po prostu, by pozwolić litera-

FOT. ŁUKASZ CAPAR

Promocja książki „Po drugiej stronie mężczyzny" w Białym Spichlerzu w Słupsku

AGATA BARTOSZEK-GAJ

Absolwentka II LO oraz polonistyki w Akademii Pomorskiej w Słupsku. Pracuje jako nauczycielka języka polskiego, bibliotekarka i instruktorka fitness. Była rzecznikiem prasowym drużyny koszykarskiej Energa Czarni Słupsk i prowadziła autorskiego bloga „Babskie Gadanie, czyli alternatywne spojrzenie na koszykówkę (i koszykarzy)".
Debiutowała zbiorem opowiadań „Reminiscencje" (Wydawnictwo Novae Res) w roku 2016, nominowanym do nagrody w konkursie „Książka na jesień 2016". Potem wydała tom poetycki „A w moim ogrodzie rosną" (Liberum Verbum) i dwie powieści: „Wieżę z piasku" i „Cenę złudzeń" (Replika). W 2021 roku światło dzienne ujrzał jej kolejny tomik poetycki – „Pan Demiurg" (Liberum Verbum) będący cyklem liryków z czasów pandemii. W 2023 roku wydała powieść społeczno-psychologiczną pt. „Miętówka" (Liberum Verbum), która została nominowana do Nagrody Europy Środkowej Angelus 2024. W 2025 roku ukazał się zbiór opowiadań pt. „Po drugiej stronie mężczyzny" (Liberum Verbum).
Laureatka literackich konkursów rangi ogólnopolskiej i międzynarodowej. Jurorka konkursów twórczości dla dzieci i młodzieży o Witkacym itp. Została wybrana do piątki najlepszych nauczycieli na Pomorzu.

eprasa.pl c26f06339e

turze być literaturą, a nie manifestem ani aktem oskarżenia. Może po prostu chcę sobie trochę z tego odwiecznego patriarchatu pożartować, szturchnąć go łokciem itp. Nie zmienię świata, ale mam prawo go sobie pozaczepiać i z nim podyskutować.

Najnowsza Twoja książka jest spójna z Twoją dotychczasową twórczością pod kilkoma względami. Pierwszy to zabawa literacka, erudycja, gra z mitami kultury wysokiej i popkultury. Czemu to służy? Dlaczego tak dużo jest tego w Twoich powieściach i opowiadaniach?
To mój sposób oswajania świata – mit, kultura wysoka i popkultura, erudycja i stereotypy kulturowe są jak wspólny język, którym kultura posługuje się w dialogu z jej odbiorcami. Zabawa literacka pozwala mi zdejmować pomniki z piedestałów i sprawdzać, co się pod nimi naprawdę skrywa (typowa babska ciekawość!). Gra z tym, co wysokie i niskie, jest też gestem demokratycznym: pokazuje, że sensy nie rodzą się wyłącznie w świątyniach kultury, ale także na ich zapleczu. Konfrontowanie się ze stereotypami kulturowymi jest dla mnie nieodłączną częścią tej gry, bo stereotyp to skrót myślowy, który literatura powinna rozbrajać, a nie utrwalać. Gdy rozbijamy utarte wyobrażenia, odsłaniamy pęknięcia w narracjach, które przez lata uchodziły za oczywiste. Literatura właśnie w tych pęknięciach odzyskuje swoją żywotność i zdolność do realnego wpływu. Dzięki temu mogę mówić o sprawach poważnych bez tonu kaznodziejstwa. Ironia działa jak wentyl bezpieczeństwa – chroni przed patosem i przed zbyt łatwymi odpowiedziami. Erudycja nie jest u mnie popisem, lecz narzędziem dialogu z czytelnikiem, który rozpoznaje tropy albo odkrywa je po raz pierwszy. A przede wszystkim taka forma daje mi wolność: mogę pytać, prowokować i opowiadać historie, które nie udają, że świat jest prostszy niż jest naprawdę.

Drugi stały element Twoich utworów to pokaźny ładunek filozofii i wiedzy z historii filozofii. Dlaczego tak lubisz „pofilozofować"?
Bo filozofia to jedyna dziedzina, w której można oficjalnie zadawać wielkie pytania i nikt nie oczekuje natychmiastowej odpowiedzi. Traktuję ją raczej jak dobrze wyposażoną skrzynkę z narzędziami niż jak świątynię mądrości. Gdy moi bohaterowie zaczynają „filozofować", to zwykle dlatego, że życie ich do tego zmusza, a nie dlatego, że przeczytali Platona do poduszki. Historia filozofii daje mi gotowe pytania, które od wieków pozostają niepokojąco aktualne. Ja tylko pożyczam je na chwilę i sprawdzam, jak brzmią w dzisiejszym świecie. Staram się przy tym nie udawać filozofa – jestem raczej amatorką zdziwienia. A jeśli przy okazji ktoś pomyśli: „To ciekawe, w tym jest jakaś prawda", to uznaję to za pełen sukces.

Trzecia zauważalna w Twoich tekstach prawidłowość to język: bogaty, czasem wręcz barokowy. Wyrafinowana budowa zdań, bogaty słownik. Co mnie zaskakuje, to jednorodność języka. Tym samym językiem mówią wszystkie postaci niezależnie od ich statusu, wykształcenia, okresu historycznego. Dlaczego tak?
Bo to ja mówię, tylko czasem w przebraniu bohaterów. Nie wierzę w absolutny realizm językowy, który udaje, że literatura jest stenogramem z życia. Jednorodny język jest u mnie umową z czytelnikiem, a nie błędem warsztatowym. Chcę, żeby postacie spotykały się w tej samej przestrzeni języka, nawet jeśli dzielą je epoki, klasy i biografie. Ten barok to nie ornament, lecz sposób myślenia – zdanie musi unieść sens, ironię i emocję naraz. Trzeba się więc nieźle nagimnastykować i w efekcie wychodzi, co wychodzi. Język literacki pozwala mi wyrównać hierarchie: król i służąca mogą mówić z tą samą godnością. Podobny styl podkreśla też to, co w nich wspólne – fundamentalne lęki, pragnienia i pytania, które nie zmieniają się wraz z modą ani ustrojem. Dzięki temu historia przestaje być muzeum głosów, a staje się żywą rozmową. A jeśli czasem brzmi to zbyt pięknie, pocieszam się myślą, że podobno dzisiaj i tak nikt nie czyta książek.

Spójrzmy na 10 lat Twojego pisarstwa. Wszystkie swoje literackie dzieci kochasz tak samo? Czy masz jakieś najbardziej ulubione? A nieudane? Jak to oceniasz z dzisiejszej perspektywy?
Moje książki to w dużej mierze obraz moich własnych przemian. Próbuję kochać siebie w każdej wersji, nawet tej niedoskonałej i niepewnej. Debiut, czyli opowiadania „Reminiscencje", był dla mnie prawdziwą inicjacją literacką – autentyczną, płynącą prosto z duszy, pełną entuzjazmu i tolerancji dla własnej nieporadności. Tamten moment był ważny, bo nauczył mnie odwagi w pisaniu i w byciu sobą w literaturze. Powieść „Miętówka" jest dla mnie szczególna, bo pozbawiłam ją narratora i oddałam pole dialogom postaci, mogłam więc schować się raz za jedną z postaci, raz za inną. Sprawiło to, że pisanie poszczególnych rozdziałów było jak zabawa kalejdoskopem. Z kolei „Po drugiej stronie mężczyzny" lubię za to, że udało mi się spojrzeć na historie znanych par z zupełnie innej perspektywy – kobiecej, uważnej i pełnej niuansów. I za to, że mimo różnych epok i kontekstów każda opowieść zachowuje literacką spójność i pozwala czytelnikowi wniknąć w emocje bohaterów. Cieszę się, że książka pokazuje siłę wyobraźni i ironii w opowiadaniu historii, które w podręcznikach często są „płaskie" i jednoznaczne. Jestem też dumna z tego, że udało mi się zachować równowagę między erudycją, zabawą literacką a autentycznym, ludzkim doświadczeniem. Każda książka, którą pisałam przez te 10 lat, była dla mnie jak etap podróży, w którym uczyłam się siebie i świata. Nie oceniam ich w kategoriach „udane" czy „nieudane", tylko jako zapisy mojej drogi, moich pytań i doświadczeń. To podejście pozwala mi patrzeć wstecz z czułością, a nie krytyką.

Po Twoich utworach widać, że masz olbrzymią łatwość pisania, lekkość pióra. Tak samo łatwo przychodzą pomysły fabularne i postaci? Skąd się biorą?
Hmmm, żeby odpowiedzieć na to pytanie, zastosuję porównanie. Pomysły i postaci przychodzą do mnie trochę jak nieproszeni na przyjęcie goście – czasem wchodzą cicho, czasem z hukiem, ale zawsze wiedzą, że zostaną ugoszczeni. Lubię zaczepiać ludzi w realnym świecie, obserwować ich gesty, słuchać, jak mówią, jak się kłócą i jak się śmieją – i to wszystko przenika potem do moich bohaterów. Często rozmawiam też sama ze sobą, prowokuję dialogi, zadziwiam się absurdami życia, i nagle okazuje się, że historia sama zaczyna płynąć. Pomysły lubią przychodzić w najmniej oczekiwanych momentach – w pociągu, podczas prowadzenia lekcji, w kuchni (gdzie z podziwem obserwuję, jak mój wspaniałomyślny mąż próbuje zapewnić nam przetrwanie, ponieważ mnie Matka Natura pozbawiła mnie talentu kulinarnego), przy próbie zaśnięcia – i czasem trzeba je tylko złapać w locie. Lekkość pióra to efekt tych wszystkich prób, błędów i eksperymentów. A bohaterowie? Są jak przyjaciele, z którymi czasem kłócę się, czasem żartuję, ale wciąż chcę ich słuchać. Najprościej mówiąc: pomysły i postaci są wszędzie, jeśli tylko pozwolimy sobie na bycie czujnym i ciekawym świata. I odrobinę zaczepnym. Jak ja.

Jaki masz styl pracy? Planujesz, wiesz wszystko, co się wydarzy od początku do końca, czy utwory rozwijają się stopniowo? Piszesz codziennie określoną liczbę słów, czy jak Cię wena natchnie? Masz przecież dużo zawodowych obowiązków. Jak to godzisz?
Moja metoda pisania wygląda trochę jak tworzenie porządku z chaosu – pisuję nieregularnie, zrywami, czasem kompulsywnie, jakby ktoś włączył w mojej głowie mikser pomysłów. Wcześniej nie robię notatek ani planów, ponieważ rozpoczęty proces pisarski trwa w mojej głowie non stop, nawet gdy próbuję udawać, że odpoczywam. Po napisaniu książki często muszę zrobić sobie przerwę, bo czuję się wewnętrznie styrana jak po wyczerpującym treningu ze sztangą. Zresztą, gdy piszę, ćwiczę częściej niż zwykle, ponieważ w ten sposób oczyszczam umysł i łapię dystans. Potem jednak wracam do tekstu i czytam go uważnie dwa razy: pierwszy raz, żeby sprawdzić, czy wszystko ma sens i jest zrozumiałe, drugi raz, żeby poprawić język i nadać mu jeszcze więcej trafności, precyzji i finezji. Lubię myśleć, że w tym drugim czytaniu trochę czaruję i sprawiam, że chaos nabiera kształtu, a słowa zaczynają układać się w dźwięczną i rozkoszną dla ucha melodię. Cały proces jest więc mieszanką improwizacji, wysiłku, wyczerpania, rzemieślniczego dłubania w słowie i radości z osiągnięcia jakiegoś finału. A potem smutku, że to już koniec. Poza tym, jeśli ma się mnóstwo obowiązków i niewiele czasu, nie można czekać na wenę jak na mannę z nieba – to brawura! Trzeba ją po prostu złapać za rękę i przyprowadzić do głowy siłą. Ma współpracować na żądanie i nie robić scen! Podlewam ją wtedy dobrą kawą, serniczkiem i białymi michałkami. Jak dotąd udaje się nam dogadać.

A tak w ogóle,to skąd się to Twoje pisanie wzięło? Przy okazji 10-lecia warto chyba spojrzeć na początek drogi...
Moje pisanie wzięło się trochę z przypadku, trochę z zachwytu nad światem i ludźmi, a trochę z tego, że nie potrafię milczeć, kiedy coś mnie zachwyca, drażni albo rozśmiesza. Już na początku drogi miałam sporo szczęścia: zostałam jedną z laureatek Pomorskiego Konkursu dla Nauczycieli organizowanego przez Pomorską Bibliotekę Pedagogiczną w Słupsku, i pamiętam, że w kuluarach mój dawny wykładowca akademicki, nieżyjący już profesor Sławomir Rzepczyński, powiedział mi coś, co do dziś brzmi w mojej głowie – że w moim pisaniu jest coś niezwykle intrygującego i głębokiego i że powinnam pisać dalej. To było jak iskra, która zapaliła we mnie pewność, że warto próbować. Potem, kiedy podesłałam fragmenty moich tekstów profesorowi Janowi Miodkowi, jego entuzjastyczna recenzja dosłownie dodała mi skrzydeł. Fruwałam dwa metry nad ziemią, choć chwilę wcześniej poświęciłam prawie godzinę na odpisanie jednego zdania na mejla Pana Profesora (po stokroć sprawdzając poprawność zapisu każdego słowa). Te dwa momenty sprawiły, że pisanie przestało być tylko prywatną przyjemnością, a stało się moim oficjalnym i publicznym sposobem patrzenia na świat. A potem przyszły nagrody w ogólnopolskich i międzynarodowych konkursach literackich, które próbowały mnie przekonać, że nie jestem najgorszą literatką świata. Uwierzyłam. I choć 10 lat minęło jak jeden dzień, wciąż czuję ten sam rodzaj ekscytacji, gdy siadam do pisania: znikam dla świata, owijam się własnymi myślami i rzeźbię w pocie czoła kolejne linijki tekstu. A potem z pogardą patrzę na wagę, która chce ukarać mnie za pożarcie białych michałków.

W jakim kierunku dalej pójdziesz jako pisarka i poetka? Czym nas zaskoczysz? Jakie masz pisarskie plany na nowy rok? I twórcze marzenia?
Myślę, że wciąż będę błąkać się po zakamarkach literatury i szukać swojego miejsca, choć wszystko wskazuje na to, że nie chcę go znaleźć. Pisanie uzależnia nie mniej niż białe michałki! Ja już chyba nie umiem nie pisać. I choć za każdym razem powtarzam sobie, że to już na pewno ostatnia książka i czas znaleźć nowe hobby, jak bumerang wracam do pisania. Podczas ostatniego spotkania promocyjnego czytelnicy podsunęli mi pomysł napisania książki pt. „Po drugiej stronie kobiety". Miałaby to być męska odpowiedź na kobiecą perspektywę. Nie będę ukrywać, że kusi mnie ta wizja. Jeśli uda nam się z mężem zrealizować kolejne podróżnicze plany z serii „Junakiem w świat", to na pewno powstanie książka-pamiętnik tej wyprawy. Podczas naszych wojaży tym starym motoosiołkiem przydarzyło się nam tak wiele przygód, że żal byłoby się nimi nie podzielić. A jeśli ktoś spyta, w którą stronę idę, odpowiem: tam, gdzie można wsadzić wścibski babski nos, zburzyć zastany porządek, podważyć prawdy ogólne, sprowokować do zmiany perspektywy myślenia i zachęcić do wejścia w świat literatury – nieoczywistej jak człowiek, starej jak świat, a jednak wciąż zaskakującej nowymi rozwiązaniami treściowymi i formalnymi. Dokąd dojdę? Nie wiem, ale na pewno to opiszę.

©℗

O KSIĄŻCE „PO DRUGIEJ STRONIE MĘŻCZYZNY"

„Po drugiej stronie mężczyzny" prawie zawsze stoi kobieta, która jest lustrem odbijającym jego myśli, pragnienia i motywy różnorakich działań. Książka to cykl nietuzinkowych opowiadań, których bohaterami są mniej i bardziej znane w kulturze pary: Zeus i Hera, Abelard i Heloiza, Francesco i Laura, Peter Paul Rubens i Helena Fourment, William Shakespeare i Anne Hathaway, Adam Mickiewicz i Karolina Kowalska, Virginia i Leonard Woolfowie, Tamara i Tadeusz Łempiccy, Marylin Monroe i John Kennedy. Ostatnia para znana jest jedynie lokalnie. To Kathrine i Andreas Zimmermannowie – historia ostatniej słupskiej czarownicy i jej męża. Pary te zostały postawione w nowych układach sił, choć większość epizodów rozpoczyna się według znanego schematu. Pełna znajomość biografii bohaterów nie jest konieczna, a nawet może się okazać balastem, albowiem autorka dokonała odważnej ich reinterpretacji. Tym razem światło reflektorów i zainteresowanie skierowane zostały na pierwiastek kobiecy, a męski stał się dla niego tłem, choć – jak podkreśla autorka – jest to tło nieodzowne. Książka Agaty Bartoszek-Gaj jest nieprzewidywalna, pełna dynamicznych zwrotów akcji i chwilowych konstelacji, które niczym w kalejdoskopie nagle zmieniają się w inne. Ponadto nad wyraz spójnie łączy prawdę z fikcją, tragizm z komizmem, przeszłość z teraźniejszością i codzienność z niezwykłością.

eprasa.pl c26f06339e

Maciej Czerniak
Pomorze

Nocny dyżur. 60 sekund do wyjazdu

W sobotę wieczór na parkingu przy Markwarta w Bydgoszczy, w siedzibie Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego stoi kilka ambulansów. Dwa na włączonych silnikach. Jeden zespół właśnie przyjechał. Rozbłyskują niebieskie światła, szlaban się unosi, drugi wyjeżdża na interwencję.

FOT. MACIEJ CZERNIAK

Jeżeli wezwanie jest pilne, ambulans musi wyruszyć do niego w ciągi 60 sekund. Na zdj. ratownik Łukasz Wierzchucki

W budynku korytarze z przygaszonymi światłami. Ci ratownicy, których nie ma w pomieszczeniach socjalnych, są na wyjazdach. W pokoju, do którego wchodzimy, jest prawie domowo: kuchnia, stół, na nim serweta, choinka i talerzyk z pozostałościami opłatka. Już po firmowej Wgilii.

W święta zło jest jakoś bliżej

Do pomieszczenia zagląda dwóch mężczyzn, witają się, przechodzimy wszyscy do pokoju socjalnego, który przez trwającą właśnie 24-godzinną zmianę jest dla nich drugim domem. A tam dwa łóżka, aneks kuchenny, stolik kawowy, szafki.

Bartosz i Kamil właśnie przyjechali z interwencji na Bielawach. Niedaleko od stacji WSPR. Wezwanie dotyczyło urazu głowy.

- Uraz twarzoczaszki, akcja z nożem - mówi Bartosz Wiśniewski, krzątając się po pomieszczeniu. W końcu siada, przychodzi też Kamil. Możemy rozmawiać. - Ostatnio chyba więcej takich sytuacji.

Bartek ma za sobą 12 lat pracy w pogotowiu. Po dyżurach trenuje MMA. Kamil Lutowski jest ratownikiem od czterech lat. Zaczynał w 2021 roku, jeżdżąc w transportach covidowych.

W ogóle weekend to gorący czas. - Ratownicy z Markwarta „obrabiają" Stary Rynek, te wszystkie kluby, knajpki. Pamiętam jeszcze, kiedy jeździłem na P9 ze Słowiańskiej, to mieliśmy zawsze małe starcie, kto jedzie na wezwanie na Stare Miasto. Tam czekają nas niespodzianki. Wiadomo, ludzie pod wpływem alkoholu, środków odurzających. Dużo gapiów. Można wpaść w sam środek chaosu.

Bartek: - Właściwie to nie chodzi o czas w ciągu dnia czy dzień w tygodniu. Najczęściej przyczyną, dla której wyjeżdżamy na wezwanie, jest właśnie ten nieszczęsny alkohol. On towarzyszy wszelkim urazom, aktom agresji, stanom depresyjnym.

I ten świąteczny akcent: wezwania związane z myślami suicydalnymi. - Jest ich więcej w święta, na pewno. Więcej kryzysów emocjonalnych, więcej ludzi, którzy zostają sami, rozpamiętują tych, którzy odeszli, nie potrafią sobie poradzić z problemami. Młodsi, starsi, nie ma reguły. Takie święta z naszej perspektywy - mówi Maciej Romaniuk, ratownik z dziesięcioletnim stażem pracy.

Z nożem na odległość dwóch kroków

Jak alkohol, to i agresja. Bartek wspomina wyjazd sprzed miesiąca. Komunikat był krótki, hasłowy, jak zawsze: „Pacjent z zaburzeniami psychicznymi". Pogotowie wezwali domownicy.

- Przyjeżdżamy, patrzę, a ten mężczyzna idzie na mnie z nożem. Był dwa metry ode mnie, kiedy się zorientowałem.

Szczęśliwie na miejscu był też patrol policji. Agresora udało się sprawnie obezwładnić. Bartek chwycił jedną rękę, tę w której niebezpieczny osobnik trzymał nóż, a policjant drugą. Akcja trwała sekundy - nóż wytrącony, a niebezpieczny osobnik leży na ziemi. Potem transport do szpitala, do izby przyjęć psychiatrycznej.

- Był drobnej postury i pod wpływem alkoholu, więc szans z nami nie miał, ale nie zawsze musi tak być. Ludzie pod wpływem nie zastanawiają się nad konsekwencjami swoich decyzji, działają impulsywnie. Wszystko mogło się zdarzyć.

Pacjent, który bije

W ostatnich latach nie brakuje doniesień o atakach na ratowników medycznych. Do jednej z najbardziej szokujących napaści doszło w 2024 roku, na bydgoskim osiedlu Opławiec. To była interwencja na ulicy domów jednorodzinnych. Pacjent był już w karetce, kiedy jego krewny odsunął drzwi ambulansu, wyciągnął z niego ratownika i ciężko go pobił. Ratownik trafił do szpitala ze złamaniami kości twarzy.

W listopadzie tego roku zakończył się proces w sprawie incydentu z 2018 roku. Bydgoski Sąd Okręgowy skazał Matthew L., amerykańskiego filmowca, za napaść na ratownika medycznego i policjantów. Sąd podtrzymał wyrok pierwszej instancji, który zapadł w ubiegłym roku w Sądzie Rejonowym w Bydgoszczy. Od tego orzeczenia odwołał się wówczas poszkodowany ratownik medyczny. Ostatecznie Matthew. L. ma zapłacić 75 tys. zł za brutalny atak, jakiego się dopuścił.

Do tego pamiętnego zdarzenia doszło podczas festiwalu filmowego Camerimage. Około 5 nad ranem w hotelu Holiday Inn w Bydgoszczy, gdzie artysta przebywał, wezwano pogotowie ratunkowe. Jak wykazało późniejsze badanie, miał on w organizmie prawie 3 promile alkoholu. Kiedy jeden z ratowników próbował zbadać mężczyznę, ten uderzył go w twarz. Poturbowany ratownik trafił do szpitala m.in. z ukruszonym zębem. Na miejsce wezwano następnie policję. Wtedy L. miał „naruszyć nietykalność funkcjonariusza publicznego".

Proces trwał latami, na pewnym etapie - mimo zaostrzonych przepisów „pandemicznych" - ambasada USA wydała zgodę na przylot adwokatów do Kalifornii, gdzie mieszkał oskarżony w ramach procedury specjalnej NIE (National Interest Exception). Sąd zgodził się na to. Problemy proceduralne sprawiły, że sprawa się przeciągała.

Ratownik, ale nie z serialu

Po ostatnich atakach zmieniono prawo. Teraz grozi za taką napaść do 5 lat więzienia. Decyzją ministra zdrowia resort zakupi też kamizelki nożoodporne. Od nowego roku mają przypaść na każdy zespół ratownictwa medycznego. Władze WSPR w Bydgoszczy zakupią ich jednak więcej - tak aby każdy z personelu miał swój sprzęt.

To nie jest idealne rozwiązanie. Kamizelki chronią część korpusu, ale pachy, szyja, okolice obojczyków nie są osłonięte. - Kompromis między ochroną i komfortem noszenia - kwituje Bartek.

- Nie mogą krępować ruchów ratownikom w czasie akcji - dodaje Maciej.

Czy się sprawdzą? Na pewno zwiększą bezpieczeństwo. Jest tylko pewna obawa, czy widok takich „pancerzy" nie będzie prowokował.

Skąd w ogóle agresja wobec pracowników pogotowia? Dlaczego agresorami bywają osoby potrzebujące pomocy? Nie ma jednej odpowiedzi.

Kamil:- Żeby to zrozumieć, trzeba wyjść poza swoją perspektywę. Przede wszystkim ludzie niekoniecznie mogą chcieć pomocy ratowników, bo uważają, że nic im nie jest. Agresywny pacjent może mieć stany depresyjne, problemy osobiste, jakieś niepowodzenia finansowe, w pracy. Do tego dochodzi jeszcze wpływ alkoholu. Kiedy taki człowiek, który ma wiele na głowie i zaburzoną zdolność oceny sytuacji widzi jeszcze zespół pogotowia...

Właśnie, to dramaty, ale przychodzi na myśl znany

eprasa.pl c26f06339e

mem z cyklu: Oczekiwania i rzeczywistość.

Maciej: - Jeśli masz skrzywione postrzeganie tego, kim są ratownicy, bo na przykład wyobrażasz sobie, że - jak w serialach - przyjeżdża zespół z lekarzem, operują cię na miejscu zdarzenia i takie cuda, wianki - a widzisz tych dwóch ratowników, którzy nie spełniają twoich oczekiwań - to wtedy to całe twoje napięcie emocjonalne może eksplodować pod wpływem tego niezadowolenia. Pacjenci bardzo dużo od nas oczekują. Myślą, że przekażemy ich zaraz na stół operacyjny, że wszystko przyśpieszymy, załatwimy każdą konsultację. Od razu rezonans będzie zrobiony. A to tak nie jest. Tak się nie da. Zderzenie oczekiwań z rzeczywistością bywa trudne.

FOT. MACIEJ ROMANIUK

Ratownicy Kamil Lutowski i Bartosz Wiśniewski (po lewej) podczas rozmowy z Maciejem Czerniakiem

Kiedy „przydarzy się dziecko"

Padają pytania: „Czemu tak długo?", „Po co pan o to pyta?" - A my zbieramy wywiad podstawowy. Nie znamy zazwyczaj przeszłości chorobowej człowieka, nie wiemy, jakie ma uczulenia na leki, jakie przyjmuje. Bez tej wiedzy moglibyśmy zaszkodzić. Mierzymy parametry życiowe. Musimy wiedzieć, z jakiego punktu zaczynamy i jak się zmienia stan pacjenta. I znów pytania: „Po co to ciśnienie?", „Po co pan ten klips zakłada?", „Nie możemy jechać już do szpitala?", „No, po co to?". Tak rośnie napięcie. My możemy próbować je obniżyć, wygasić te emocje, ale nie zawsze się udaje - opowiada Maciej.

Dzieci. Każdemu ratownikowi prędzej, czy później „trafia się dziecko". Maciej tłumaczy, że jeden na taki wyjazd czeka 10 lat, innemu zdarzy się na samym początku, nawet na pierwszym dyżurze. Dzieci pozostawiają trwały ślad w pamięci każdego ratownika.

- Ja przeżyłem takie zdarzenie w pierwszym roku pracy - mówi Kamil. - Reanimacja. Dziewczynka miała chyba trzy lata. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, już się przelewała ojcu na rękach. Zachłystowe zapalenie płuc. Długo o nią walczyliśmy, o jej życie. Niestety... została na miejscu.

Śmierć z dwóch perspektyw

W pokoju zapada cisza. Bombki, stroik, za oknem ciemność, za nią światło sączące się z sąsiedniego budynku, ze szpitala MSWiA w Bydgoszczy. Pijemy kawę, odzywa się alarm z tabletu w sąsiednim pokoju, poruszenie. Ratownicy wybiegają, mają sześćdziesiąt sekund, by wyruszyć na zgłoszenie - jeżeli to jest kod 1., który oznacza pilny wyjazd na sygnałach.

Historia sprzed kilku lat: Wezwanie do potrącenia przez pociąg. Wiadomo tylko to, żadnych szczegółów. Na miejsce jedzie motoambulans, czyli motocykl ratunkowy. Jest też zespół na tzw. kołach, czyli podstawowy zespół ratownictwa medycznego z dwoma ratownikami. Widać tylko rozrzucone fragmenty ciała. - Nie było najmniejszej możliwości określenia płci, wieku. Nic - opowiada jeden z ratowników.

- Myślałem, że na tym się skończyła moja misja tego dnia. Na miejsce przyjechała policja, zajęła się sprawą. Wróciłem do bazy. Po około trzech godzinach dostałem wezwanie: „Osoba z zaburzeniami psychicznymi". To jadę na miejsce, za miasto. Pani mówi, że nie może sobie poradzić z tym, co się dzisiaj wydarzyło. Okazało się, że córka skoczyła pod pociąg. Poszła do szkoły, nie doszła do niej, ale właśnie na dworcowy peron i skoczyła. Nawet nie była pełnoletnia.

Na ścianach w domu zdjęcia, gdzieniegdzie rzeczy osobiste dziecka. - Dotarło do mnie, że to ta sama historia. To był dla mnie szok. Takie zderzenie dwóch sytuacji, jedno życie, jeden wypadek, dwie perspektywy. Przecież byłem tam, by pomóc tej kobiecie. A sam też musiałem dźwigać ten ciężar.

Ciężar pamięci

- Zaraz mi się przypominają wszyscy po skokach z różnych pięter bloków - dodaje Kamil.

Ratownicy przeżywają traumę podobną do tej, z którą mierzą się maszyniści w pociągach. - Nie mogą skręcić, zareagować, nie mają wpływu na to, że ktoś się rzuca pod skład. Przy takiej prędkości i tonażu, to jest kilkaset metrów hamowania.

- Jak stado saren albo dzików wejdzie na tory i nie spłoszy się od trąbienia, to tylko słychać „pach, pach, pach" i widać rozbryzgi.

Ratownicy medyczni WSPR mają rocznie około 45 tysięcy interwencji. Tak naprawdę, trudno te wszystkie przypadki pamiętać. - Zapadają głębiej te, kiedy kogoś się udało albo kiedy nie udało się uratować. Kiedy ktoś zawdzięcza nam drugie życie. Przez ręce każdego z nas przechodzi kilka tysięcy osób.

Towarzysz ostatnich chwil

- Często zdarza mi się jeździć do pacjentów onkologicznych - mówi Maciej. - To osoby często u schyłku życia. Trzeba podejmować odważne decyzje, kierować się dobrem pacjenta, rodziny. Jego prawem do godnego odchodzenia. Przejazd do szpitala to jest często dla nas najprostsze rozwiązanie - żeby kogoś po prostu zabrać. A sztuka polega na tym, żeby tego pacjenta dokładnie zbadać, zebrać wywiad, ocenić sytuację, zapoznać się z dokumentacją medyczną, poznać wolę pacjenta. Czasami to jest tak końcowy etap, że nie da się im pomóc. Można uśmierzyć ból, duszność, porozmawiać z nimi, spędzić trochę czasu w domu i tyle.

To są, jak mówi, bardzo delikatne wizyty. Jak rozmawiać z pacjentem o śmierci? Nikt ich, ratowników, na to nie przygotowuje.

Jeżeli rodzina widzi zaostrzenie problemu u swojego bliskiego oczekuje od pogotowia ratunku. Naszym zadaniem jest zawsze pomagać.

- A przecież tam, gdzie możliwości terapeutyczne są wyczerpane i można o tym przeczytać w wypisie szpitalnym, że pacjent jest zdyskwalifikowany z dalszego leczenia, no to my tak naprawdę jesteśmy w oczach pacjenta i rodziny ostatnią deską ratunku - podkreśla Maciej. - I ta nadzieja bywa odebrana. Jesteśmy tymi ludźmi, którzy powiedzą, że się już nie da nic zrobić i czas się po prostu pożegnać. To jest dla nas ogromne wyzwanie. Nie każdy potrafi na takie tematy rozmawiać. Trzeba być delikatnym, uważać na każde słowo. To są dla mnie pacjenci najtrudniejsi. Wiem, co to znaczy, bo sam pochowałem chorującego na nowotwór tatę i brata. Obaj zresztą byli lekarzami.

Jest kilkanaście minut po godzinie 21. Dzwoni tablet: „Niemowlę, trudności z oddychaniem". Kod 1. Ratownicy mają tylko sześćdziesiąt sekund na wyjazd.

©℗

FOT. MACIEJ CZERNIAK

Weekendowy wieczór w WSPR przy Markwarta 7 to czas częstych wyjazdów

FOT. MACIEJ CZERNIAK

Ratownicy w drodze - trzeba bardzo szybko - ale bezpiecznie! - dojechać na miejsce

eprasa.pl c26f06339e

20 ciągników, liczna obsada. Z rozmachem, choć bez grosza

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Krystian Sibiński, scenarzysta, reżyser i odtwórca głównej roli

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Scena z 20 ustrojonymi świątecznie ciągnikami robi wrażenie

Patryk Czerwiński
Powiat słupski

Krystian Sibiński, pracownik stacji paliw w Słupsku, w czasie wolnym kręci filmy. Jego najnowsza, amatorska produkcja to trzecia część cyklu „Świąteczna gorączka". Film „Nie cicha noc" powstał głównie w Główczycach przy udziale lokalnej społeczności i bez budżetu.

Krystian Sibiński w dzień Wigilii opublikował swój trzeci już film świąteczny pt. „Świąteczna gorączka: Nie cicha noc". Główny wątek koncentruje się wokół historii chorego dziecka, które wymaga pilnego i kosztownego leczenia. Dzięki młodemu mężczyźnie, który na okres świąt zostaje Świętym Mikołajem, mieszkańcy, początkowo zabsorbowani własnymi przygotowaniami do świąt, jednoczą się, by zorganizować zbiórkę społeczną. Akcja pomocowa, rozwijająca się w scenerii świątecznych dekoracji i zimowych plenerów Główczyc, staje się głównym wydarzeniem napędzającym fabułę.

Trzecia część świątecznej trylogii

- Pomysł na film zrodził się w listopadzie. Od 2023 co roku wydajemy, na naszym kanale YouTube, filmy z serii „Świąteczna gorączka". W tym roku wydaliśmy część trzecią. W zamyśle miał być to skromny projekt, ale rozrósł się do większego - mówi Krystian Sibiński.

To on jest głównym inicjatorem projektu. Jak sam jednak podkreśla, bez pomocy innych osób przedsięwzięcie by się nie udało. Wymienia swojego brata Adama oraz kolegę Przemka Tandka, który aktywnie działa w lokalnej społeczności rolniczej.

Zdjęcia do filmu „Świąteczna gorączka: Nie cicha noc" kręcono głównie na terenie gminy Główczyce. Kilka scen zrealizowano również w Słupsku. Proces przygotowawczy zajął twórcy około miesiąca. Obejmował on poszukiwanie lokacji, pisanie scenariusza oraz rekrutację osób chętnych do wystąpienia w amatorskiej produkcji.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Pokaz filmowy w Główczycach

Koszty? Zero złotych

- Kosztował nas w sumie tylko czas prywatny. Ja na przykład cały miesiąc poświęciłem na przygotowania do filmu. Takie jak np. lokacje, scenariusz, poszukanie ludzi, którzy chcieliby wystąpić w tym projekcie. Jedyny koszt materialny poniesiony to paliwo do ciągników, ale ci dobrzy kierowcy przyjechali ze swojej dobrej woli - twierdzi Sibiński.

Emocje na planie i najtrudniejsza scena

- Uwielbiam robić takie rzeczy. Od dziecka kocham filmy, wychowałem się na „Terminatorze" czy komediach typu „Naga broń". Emocje przy każdej scenie są dla mnie ogromne. Sto pytań, czy to się uda, czy wszystko będzie grać. Bardzo się stresowałem przy tym filmie, ponieważ chciałem zrobić go najlepiej, jak potrafię - dodaje Sibiński.

Za najtrudniejszą scenę do nagrania uznał tę z udziałem ponad 20 świątecznie przystrojonych maszyn rolniczych.

- Przy scenie do filmu, gdzie wystąpiło ponad 20 maszyn, czułem wielki stres. Pełno ludzi i ja jeden ze swoją wizją. Musiałem im to przekazać w jak najbardziej sensowny sposób. Całą noc nie spałem przed kręceniem tej sceny. Myślę, że koniec końców udało się.

Ludziom się spodobało

Pytany o ocenę gotowego filmu, odpowiada:

- Myślę, że każdy artysta który tworzy jakąś rzecz, powie że jest najlepszą na świecie i obiektywnie na nią nie spojrzy. Mnie osobiście bardzo się podoba. Odbiór ludzi jest bardzo dobry i mi to wystarczy.

Twórca otrzymał wraz z bratem wiele prywatnych wiadomości, a pod filmem na YouTube pojawiły się pozytywne, a nawet wręcz entuzjastyczne komentarze.

- Ja nie jestem profesjonalistą, tylko amatorem. Wystarczy spojrzeć na komentarzem pod filmem na YouTube, jak fajny jest odbiór. Dostałem razem z bratem wiele wiadomości, że ludzie nawet wzruszyli się na końcu i wydaje mi się, że to jest jakiś sukces - twierdzi Sibiński.

Maraton filmowy w Główczycach

Gmina Główczyce przygotowała pokaz wszystkich trzech części filmu na dużym ekranie. Wydarzenie odbyło się 3 stycznia tego roku o godz. 17 w Gminnym Ośrodku Kultury w Główczycach.

„Świąteczną gorączkę. Nie cichą noc" można obejrzeć na YouTubie.

©℗

eprasa.pl c26f06339e

Z Hollywood Północy do Szczecina. Powrót po 25 latach

Anna Brüske-Szypowska
MM Trendy Szczecin

Mówi się, że Vancouver to „Hollywood North". A skoro tak, to w Szczecinie mamy swojego człowieka stamtąd. Piotr Biernat spędził w Kanadzie blisko 25 lat - grał i uczył na wydziałach aktorskich w Toronto, współpracował z teatrami ruchu w Kanadzie i Japonii, wystawiał własne choreografie na festiwalach, a także pojawiał się w międzynarodowych, wysokobudżetowych reklamach. Żył w rytmie kontraktów i podróży. Spotykamy się w Szczecinie, gdzie wrócił, by dołączyć do teatru dramatycznego.

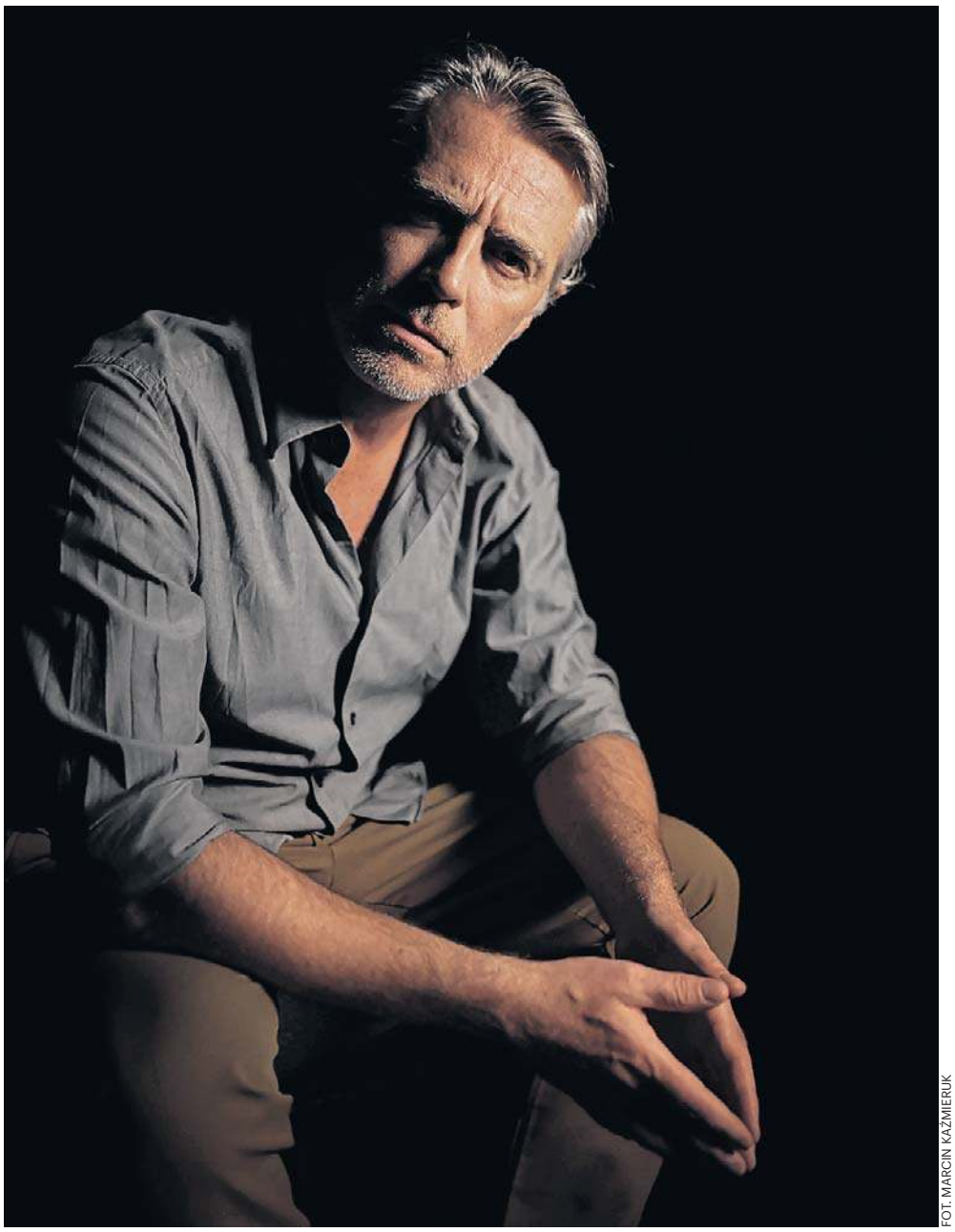

FOT. MARCIN KAŹMIERUK

Podobno miałeś być lekarzem... Co się stało, że wybrałeś scenę?
Byłem typowym ścisłym umysłem. Chciałem być lekarzem, ale w tym samym czasie był egzamin do szkoły teatralnej we Wrocławiu. Może dlatego, że byłem tak zdesperowany, to mnie przyjęli (śmiech). Na początku aktorstwo wydawało mi się pomyłką. Miałem momenty, że chciałem rzucić szkołę. I wtedy pojawiła się specjalizacja ruchowa - zajęcia z tańca. Ja, osoba, która nigdy nie miała nic do czynienia z tańcem, odkryłem, jak dobrze czuję się w niewerbalnym języku ciała. I to mnie uratowało.

Ruch cię uratował?
Tak. A później ten ruch dosłownie poprowadził mnie dalej. Pojechałem do Kanady na wakacje, z wizą w kieszeni. Trafiłem do szkoły tańca Anny Wyman w Vancouver (legenda tańca współczesnego w Kanadzie - przyp. red.). Po zajęciach powiedziała - masz smykałkę, zostań, załatwimy ci stypendium. I tak się zaczęło - pojechałem na wakacje, a zostałem 25 lat.

Jakie było twoje pierwsze zderzenie z Kanadą?
Szokiem było, jak inaczej się tam żyje - bliskość natury, duchowość, zdrowy styl życia. To, co jesz, jak oddychasz, z kim spędzasz czas - tam naprawdę ma znaczenie. Z językiem było różnie: mówiłem prosto i to działało. Ale im więcej rozumiałem, tym bardziej zaczynałem się bać, że popełniam błędy - i wtedy zaczęło być trudniej. A tymczasem moja mama, która nie mówiła po angielsku wcale, potrafiła w trakcie odwiedzin wyjść sama w miasto, w kilka minut dogadać się z ludźmi i wracała z nowymi słówkami. To mnie nauczyło, że najważniejsze to się nie bać - odwaga i otwartość działają najlepiej. I to w sumie dobrze oddaje moje początki w Kanadzie, bo szybko wciągnąłem się w tamtejszy system pracy, który działa zupełnie inaczej niż w Polsce. Większość artystów, w tym ja, żyła bez etatu - na grantach, krótkich lub dłuższych kontraktach. Dzięki temu mogłem robić własne projekty, podróżować do Japonii czy Stanów z takimi grupami teatralnymi, jak m.in: Danny Grossman Dance Theatre, CORPUS, Kahawi Dance Theatre, a gdy później przez kilka miesięcy nie było pracy, dorabiałem np. w cateringu i nikogo to nie dziwiło. Dawało to ogromną wolność, ale też uczyło elastyczności.

Gdy zestawisz to z polską rzeczywistością, jakie różnice były dla ciebie najbardziej odczuwalne?
W Polsce, żeby być artystą niezależnym, godzisz się na brak stabilizacji i ryzyko. Etat traktowany jest jako gwarancja, a gdy go tracisz, wszystko się wali. W Kanadzie to państwo tworzy system bezpieczeństwa, w Polsce ten ciężar spoczywa na jednostce. I to jest fundamentalna różnica. Tam każdy ma darmowe ubezpieczenie, więc ludzie nie myślą o tym, że muszą mieć pracę na etat, ponieważ potrzebują ubezpieczenia. Gdy studiowałem w School of Toronto Dance Theatre skręciłem kolano, musiałem mieć operację. Pierwsza moja myśl brzmiała - Boże, muszę wrócić teraz do Polski, bo inaczej się nie da. Operacja kosztowała około 20 tys. dolarów i system pokrył te koszty. A od dziekanki usłyszałem - super, to teraz ten semestr odpocznij.

Później sam zacząłeś uczyć na wydziałach aktorskich w Toronto. Widziałeś różnicę w procesie edukacji w Polsce i w Kanadzie?
Tak. To są dwa zupełnie różne światy. W Kanadzie jest cały system chroniący studentów i wykładowców przed mobbingiem czy przemocą. Jako pedagodzy byliśmy uczeni, jak się komunikować ze studentem, tak żeby ktoś się rozwinął, a nie żeby go złamać. A w polskiej szkole chodziło o to, żeby łamać. W Kanadzie nauczyciel jest dla ciebie - to jego praca, za którą student płaci, bo tam wszystkie studia są płatne. W Polsce, poza kilkoma profesorami, ja (jako uczeń - przyp. red.) nie wiedziałem, czego oni w ogóle chcieli, o czym mówili. W Kanadzie dostałem syllabus, gdzie wszystkie zajęcia były opisane. I nauczyciel musiał wyjaśnić, o co chodzi - nie było czegoś takiego, że przyjdzie i powie - ale ja tego nie czuję. Tam przede wszystkim uczono metodami, dużo mówiło się o tym, że jest techniczny język dla aktorstwa, ruch dla budowania postaci, co jest bardzo ważne. Przecież ewolucja człowieka zaczyna się od ciała, zanim zaczniemy mówić, to się ruszamy. U nas jest to traktowane jak ta niechciana ciocia na urodzinach, a tam jest to podstawa.

Vancouver nazywane jest „Hollywoodem północy". Faktycznie czułeś taki klimat? Jakie były twoje wrażenia z planów i castingów?
Tak, to było mocno odczuwalne. W Kanadzie funkcjonują związki zawodowe dla filmowców i aktorów teatralnych - i one jasno regulują stawki i zasady, co wpływa na etykę pracy. To daje poczucie bezpieczeństwa, bo wiesz, że idziesz na plan, gdzie masz dobrze zapłacone i pracujesz ze świetnymi ludźmi. Ale to też wymaga odpowiedniego nastawienia: jesteś punktualny, przygotowany, uśmiechnięty. Jeśli zawalisz, wypadasz z obiegu. W Polsce zdarzało się, że ktoś potrafił przyjść na plan „wczorajszy". Tam byłoby to nie do pomyślenia - od razu straciłby pracę i został wykreślony ze związku. W Kanadzie masz poczucie, że jeśli jesteś na planie, to dlatego, że na to zapracowałeś - nie ma tu miejsca na załatwienie czegoś po znajomości.

A szczęście? To obok talentu i pracy ważny czynnik sukcesu...
Oczywiście, czasem szczęście pomaga. Przy reklamie McLarena pomogła mi znajomość akcentu nowozelandzkiego. Znam go dlatego, że mój dobry przyjaciel jest z Nowej Zelandii. Żartowałem z reżyserem i może to przechyliło szalę. Ale ostatecznie to castingi i twoja praca decydują. A ja lubię czuć, że zapracowałem na swoje miejsce. Czasem ktoś cię poleci, trafisz na właściwych ludzi, ale to tylko otwiera drzwi - dalej trzeba udowodnić, że się na to zasługuje. W Polsce budżety filmowo-reklamowe wciąż rosną, wraz z nimi rosną też wymagania, a razem z tym zmienia się etos pracy. Ale żeby nie było tak pięknie - gdy wróciłem do kraju, przez pierwszy rok nie zrobiłem żadnej reklamy, choć chodziłem na castingi. Trzeba czasu, żeby ktoś ci zaufał.

Masz na koncie sporo reklam - i polskich, i zagranicznych. Poza McLarenem m.in. Pepsi.
Tak, robiłem wiele reklam międzynarodowych. Udało mi się zrobić dużą kampanię dla czekolady Lindt. Zdjęcia trwały trzy dni, przyleciała 18-osobowa ekipa z Francji, a ja miałem warsztaty z ich mistrzem czekolady, który uczył mnie mieszać pralinki, jakbym szykował się do konkursu cukierniczego. Do tego przymiarki, próby... A wszystko to „tylko" do reklamy. To było świetne doświadczenie. Po tym trochę odpuściłem granie w różnych epizodach serialowych. Zazwyczaj wpadasz tam na jeden dzień, zarobisz pieniądze, ale nic z tego nie wynika i niewiele to daje dla rozwoju osobistego. Zwłaszcza teraz, gdy gram bardzo różne role - czuję, że rosnę jako aktor dramatyczny, że mogę się rozwijać i znaleźć poczucie ciągłości. Tu uczę się też od młodszych kolegów. Mam 53 lata, a ich energia mnie odmładza. To dla mnie powrót do bazy - do teatru dramatycznego, od którego zaczynałem, bo jestem absolwentem wydziału dramatycznego PWST.

A jak, mając takie geograficzne horyzonty, odnajdujesz Szczecin?
Pierwsze wrażenie, kiedy tu przyjechałem, było dokładnie takie samo jak w 1995 roku w Vancouver. Portowe miasto, bliskość wody, skala „w sam raz". Nieprzerośnięte, zielone. Z jednej strony teatr - ogromny, z wielkimi scenami. Z drugiej - sąsiedzi, którzy przynoszą jabłka i śliwki z ogrodu „na poprawę humoru". To jest niesamowite. I w tym spokoju znalazłem równowagę, której wcześniej brakowało mi w Warszawie, bo tam skierowałem się najpierw.

Jaką radę dałbyś młodym aktorom, którzy dziś zaczynają?
Korzystać z każdej okazji, nie bać się wyjeżdżać, próbować - nawet kosztem niestabilności. Rozwój osobisty jest ważniejszy niż „bezpieczny etat". Ja zawsze myślałem sezonami - jak w szkole: zaczyna się we wrześniu, kończy w czerwcu. Każdy sezon jest inny, lepszy albo gorszy, ale zawsze zaczyna się na nowo. ©℗

eprasa.pl c26f06339e

Do poczytania

Violetta Ozminkowski „Humorystki. Kobiety, które uczyły nas śmiechu”
To pełna śmiechu i łez opowieść o Magdalenie Samozwaniec, Stefanii Grodzieńskiej i Marii Czubaszek. Każda z nich była nazywana pierwszą damą polskiego humoru, każda miała ogromny dystans do świata i siebie. Były pogodne, ale nie naiwne. Miały klasę i odwagę, żeby mówić własnym językiem.
Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2025, 55,00 zł

Sebastian Fitzek „Dziewczyna z kalendarza”
Najnowsza powieść Sebastiana Fitzka, gwiazdy niemieckiej sceny literackiej! Mroczny, wielowarstwowy psychothriller mistrza gatunku, którego fabuła zmrozi nawet gotowych na wszystko czytelników Donato Carrisiego, Harlana Cobena, i Jo Nesbø. Co jeśli się okaże, że śmierć jest twoją jedyną szansą na przeżycie?
Wyd. Albatros, Warszawa 2025, 49,90 zł

Mathias Enard „Opowiedz im o bitwach, o królach i słoniach”
Opowieść o spotkaniu Zachodu ze Wschodem, sztuki z polityką, o ludzkich aspiracjach i pragnieniach. W trakcie pobytu w Imperium Osmańskim Michał Anioł zanurza się w lokalnej kulturze i ląduje w samym sercu politycznych intryg, próbując przy tym powołać do życia swe największe dzieło.
Wyd. ArtRage, Warszawa 2025, 44,00 zł

Dominika Buczak „Parasolki”
Na kartkach tej książki przeplatają się losy pierwszych emancypantek - zarówno postaci fikcyjnych, jak i prawdziwych - Narcyzy Żmichowskiej, Zofii Nałkowskiej, legendarnych działaczek, jak Kazimiera Bujwidowa, Aleksandra Szczerbińska (późniejsza żona Piłsudskiego) czy Wanda Gertz, która przebrała się za chłopaka by walczyć w Legionach Polskich.
Wyd. Literackie, Kraków 2025, 59,90 zł

Stefan Friedmann „Trzylogia dzieł żebranych przez autora”
Humor, absurd i celna satyra w najlepszym wydaniu! Pełna dowcipu i inteligentnej ironii podróż przez polską codzienność. Literacko-kabaretowa zabawa formą, w której autor z charakterystycznym dla siebie humorem i dystansem komentuje świat, ludzi, obyczaje i medialne absurdy.
Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2025, 49,99 zł

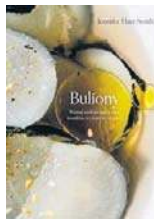

Jennifer Hart-Smith „Buliony. Poznaj uzdrawiającą moc rosołów, wywarów i esencji”
Autorka zabiera nas w podróż przez historię bulionów w różnych kulturach i częściach świata. Pozwala nam ona lepiej zrozumieć nierozerwalny związek tego dania ze zdrowiem oraz odkryć, w jaki sposób może ono pomóc w trudnych chwilach. Buliony korzystnie wpływają na funkcjonowanie organizmu.
Wyd. Buchmann, Warszawa 2025, 99,99 zł

Stephen King „Bazar złych snów”
Teksty w tym zbiorze poruszają zagadnienia moralności, życia pozagrobowego, winy i kary, odpowiadają na pytanie, co zrobilibyśmy inaczej, gdybyśmy mogli zajrzeć w przyszłość lub naprawić błędy popełnione w przeszłości. Wciągające bez reszty opowiadania są jednym z najpiękniejszych darów Kinga dla jego czytelników.
Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2025, 69,99 zł

Stephen King „Billy Summers”
Billy Summers jest najlepszy w swoim fachu. Eliminuje ludzi, ale tylko tych naprawdę złych. Był snajperem w Iraku, zna się więc na rzeczy - i zawsze strzela celnie. Przynajmniej tak było do tej pory. Tym razem przyjmuje ostatnie zlecenie. Czas w końcu na zasłużoną emeryturę. Niestety, coś idzie nie tak... A nawet wszystko.
Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2025, 65,00 zł

Nick Trend „Sztuka i miłość. Opowieści o namiętnościach, skandalach i obsesjach”
Kurator National Gallery odkrywa sekrety najsłynniejszych artystek i artystów. To fascynująca podróż przez największe miłosne historie w dziejach malarstwa mistrzów takich jak: Caravaggio, Chagall, Lempicka, Dali czy Lee Miller. Podróż pełna pasji, namiętności i destrukcyjnej obsesji.
Wyd. Znak, Kraków 2025, 65,00 zł

Katarzyna Ryrych „Pogoda pod psem”
Leopold, świeżo upieczony emeryt, nie podejrzewa, że tekturowe pudełko znalezione na klatce schodowej w wigilijny wieczór wywróci mu całe dotychczasowe życie do góry nogami. 24 grudnia to smutny dla niego dzień - przecież właśnie w Wigilię jego żona zmarła. Zawartość kartonu sprawi, że serce emeryta stopnieje.
Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2025, 49,99 zł

Ursula K. Le Guin „Czarnoksiężnik z Archipelagu. Powieść graficzna”
To pierwsza z sześciu części cyklu „Ziemiomorze” - jednego z najbardziej cenionych dzieł w historii literatury fantasy. To filozoficzna opowieść o dojrzewaniu, odpowiedzialności i pogodzeniu się z własną tożsamością, a zarazem wciągająca historia rozgrywająca się w starannie wykreowanym świecie magii.
Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2025, 149,99 zł

Natalka Suszczyńska „Wygoda”
Pierwsza powieść Natalki Suszczyńskiej całkowicie rozsadza wąskie ramy autofikcji. To opowieść o tożsamości, traceniu i asymilacji, o nieprzystawaniu do większości i do mniejszości. Prawda i fikcja funkcjonują tu na równych prawach, a Podlasie jest mniej magiczne niż zwykle. Czy wszystko zaczęło się od prababki, która była bieżenką?
Wyd. ArtRage, Warszawa 2025, 39,00 zł

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 94 347 35 12
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń:

Oddział Koszalin: ul. Partyzantów 17, 75-411 Koszalin, tel. 94 347 35 12
Oddział Słupsk: ul. Henryka Pobożnego 19, 76-200 Słupsk, tel. 59 848 81 03
Oddział Szczecin: Al. Niepodległości 26/U1, 70-412 Szczecin, tel. 91 48 13 310

RUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH:

- NIERUCHOMOŚCI
- HANDLOWE
- MOTORYZACJA
- FINANSE/BIZNES
- NAUKA
- PRACA
- ZDROWIE
- USŁUGI
- TURYSTYKA
- BANK KWATER
- ZWIERZĘTA
- ROŚLINY, OGRODY
- MATRYMONIALNE
- RÓŻNE
- KOMUNIKATY
- ŻYCZENIA /PODZIĘKOWANIA
- GASTRONOMIA
- ROLNICZE
- TOWARZYSKIE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ Twój problem z udziałem w nieruchomości, spadku ! Nie wiesz co robić, nie dogadujesz się z rodziną, współwłaścicielem? Sprzedaj mi swój udział ! 602738759

MIESZKANIA - WYNAJMĘ

SZUKAM pokoju bądź taniej stancji do wynajęcia, 692-843-439.

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek.

Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

Usługi

AGD RTV FOTO

PRALKI naprawa w domu, 603 775 878

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus Wielkanocny, 1400 zł, w górach koło Wadowic, tel.: 501-642-492

Zwierzęta

INNE

ODDAM w dobre ręce psa - sukę o imieniu Bella, 692-843-439.

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI,881-934-948

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURKI nioski z jajem dowóz 600539790

AUTOREKLAMA
ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń
ibo.polskapress.pl

AUTOREKLAMA
Polecamy →
motofakty.pl

Motoryzacja na wysokich obrotach
motofakty.pl

eprasa.pl c26f06339e

CZYTELNIA

Literatura sf. istniała już w XVII w. za sprawą Cyrana o długim nosie

W Krakowie na Sławkowskiej jest Restauracja Cyrano de Bergerac, specjalizująca się w kuchni francuskiej. Niestety, ani do przepiórek w cieście, ani nawet do ostryg Fine De Claire nie dodają „Tamtego świata" Cyrana de Bergeraca (1619-1655). A mogliby, powieść wyszła niedawno w PIW-ie.

Libertyn w kosmosie

Kim był ów Cyrano? A właściwie Hercule Savinien de Cyrano de Bergerac? Filozofem, który uważał się za „prawdziwego" kartezjanistę, żołnierzem-zabijaką, bajarzem, libertynem, a przy tym pisarzem. I to dość niezwykłym – „Tamten świat" opowiada bowiem o podróży do państw Księżyca i Słońca. W XVII w. mogło to budzić zdumienie.

Zwłaszcza że autor daje się ponieść fantazji w tworzeniu i doborze argumentów. Książka jest pełna humoru, satyry i refleksji nad ludzką naturą oraz kosmosem, który bawi zarówno swoją formą, jak i treścią. Nikogo nie zdziwi, że na kartach powieści „kamienie czują, rośliny są obdarzone instynktem, a zwierzęta rozumieją".

Ten przeklęty nos

Przewrotna fortuna do spółki z niejakim Edmonema Rostandem, złośliwcem i autorem XIX-wiecznej sztuki teatralnej o Cyranie sprawili, że nasz bohater kojarzony jest z najdłuższym nosem w historii, dłuższym nawet od nosa Kleopatry. „Gdybym miał nos taki duży, wnet bym go sobie ściąć kazał do szczętu" – pokpiwają z Cyrana bohaterowie sztuki.

Nawet Kornel Makuszyński nie odmówił sobie ironii: „Sławny poeta, muzyk, fizyk i rębajło Sawiniusz Herkules Cyrano de Bergerac, właściciel największego nosa, jaki kiedykolwiek oglądano, tego nosa, o którym powiedziano, że idzie przed swoim właścicielem o kwadrans drogi i dla którego trzeba będzie po śmierci nosala osobny usypać kopiec. Jak wszyscy południowcy pan Gaston odznaczał się nie umęczoną ruchliwością ciała i kwiecistą barwnością stylu, przemawiał zaś równocześnie: ustami, oczami i rękoma; słowami migał jak szpadą, przypominając owego Gaskończyka, który tak grzmiał w liście: »Piszę do ciebie trzymając pistolet w jednej ręce, a szablę w drugiej«".

De Bergerac nieugięty

Nieco ciekawostek o życiu Bergeraca dorzuca Juliusz Kaden-Bandrowski. O nosie na szczęście nie dowcipkuje: „Pewnego dnia gdy wracał do domu spadła mu na głowę ciężka kłoda drzewa. Odniósł wskutek tego śmiertelną ranę, której już odtąd miał ulec. Rozeszła się nawet wieść, iż miał przyćmiony umysł.

Czternaście miesięcy męczył się w domu jednego z licznych przyjaciół. Nie brakło tu pobożnych usiłowań, celem nawrócenia go, szczególnie ze strony pięknej krewnej Magdaleny Robineau, baronowej z Neuvillette, która po bohaterskim zgonie męża, podczas oblężenia Arras, przyoblekła szaty zakonne. Umarł Cyrano de Bergerac, zaledwie 36 lat licząc, w późnej jesieni 1655 r.". **grab**

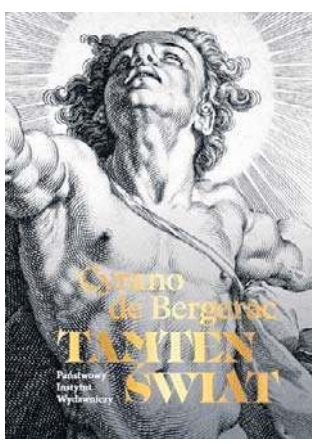

Cyrano de Bergerac, „Tamten świat", wyd. PIW, Warszawa 2025, cena 65 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

KATARZYNA ZILLMAN

Zatańczyła na rurze

Udział polskiej wioślarki w parze z Janją Lesar w ostatniej edycji „Tańca z gwiazdami" wzbudził ogromną sensację. Tym większą, że po programie medalistka olimpijska rozstała się z ukochaną, Julią Walczak, a tancerka ze swym wieloletnim partnerem Krzysztofem Hulbojem. Zaczęto więc coraz głośniej mówić, że Zillman i Lesar są parą. Obie panie wydają się podsycać te plotki. W miniony wtorek wrzuciły do internetu relację ze wspólnego wypadu na trening tańca na rurze. Tancerka i wioślarka próbowały swoich sił pod czujnym okiem instruktorki oraz dopingowały się wzajemnie zza kadru. „I teraz co z tym zrobić?" – zapytała na koniec Lesar fanów.

HELENA ENGLERT

Nie potrzebuje Oscara

W najnowszym wywiadzie dla podcastu „Pierwsza randka" młoda aktorka wróciła do czasów, kiedy wybrała się na kurs do USA. Początkowo planowała zostać za oceanem na dłużej, aby tam spróbować zaistnieć, ale szybko porzuciła te plany. – Zdałam sobie sprawę, że przez pół roku w Stanach nie odbyłam ani jednej wartościowej rozmowy, która wykraczałaby poza „Hi, how are you? Oh my God, you look so amazing. Whatever". I że ja nic nie przeczytałam, niczego się nie dowiedziałam i że nie tęsknię za nikim, kogo tam poznałam. Po prostu to chyba nie tędy droga, bo ja jestem tu szczęśliwsza. I że po co mi ten Oscar? W sensie jakby w ogóle o tym nie jest życie.

DAWID KWIATKOWSKI

Płakał w garderobie

Podczas niedawnego „Sylwestra z Dwójką" piosenkarz świętował trzydzieste urodziny. Był tort na scenie i wspólne śpiewanie „Sto lat". Tym bardziej fanów wokalisty zaskoczył wpis, jaki wrzucił w miniony wtorek na Instagram. Na zamieszczonym zdjęciu widać, jak siedzi w garderobie „Sylwestra z Dwójką" i zakrywa dłońmi twarz. Pod fotografią widniał podpis: „Płacz chłopie w tej garderobie ile wlezie. Tyle lat nie potrafiłeś tego robić, aż w końcu się nauczyłeś, a raczej nauczono cię, gdy leżałeś na kozetce. Całe dzieciństwo w gotowości, w spięciu, uciekać albo walczyć. I tak się zbierało wszystko, bez jakiegokolwiek ujścia. A człowiek bladego pojęcia nie miał, że można. Płaczmy, kiedy się chce. Żeby się kiedyś nie przelało".

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Celebrytka podróżuje obecnie z Rafałem Brzoską wzdłuż Afryki i nawet... posprzątała tam plażę

OMENAA MENSAH

Sprzątała plażę

Celebrytka podróżuje obecnie z Rafałem Brzoską wzdłuż Afryki, skrzętnie dokumentując swoją wędrówkę w social mediach. W jednym z ostatnich wpisów Mensah zwróciła uwagę na to, że turyści i mieszkańcy Czarnego Lądu nie dbają o ekologię. „To, co mnie bardzo często przeraża w trakcie różnych podróży, to że na wielu plażach, zarówno Afryki, jak i Azji, można zobaczyć takie śmieci, których się nie spodziewamy. Uwaga, tu znalazłam kask – to jest taki minikask dla dzieci, zabawka. No właśnie, edukacja, edukacja, ale cóż... Zbieram, zanoszę. O, grzebień. Trzeba naprawdę zacząć o tym wszystkim myśleć w takich kategoriach, że takie śmieci tu nie powinny być" – stwierdziła.

AGNIESZKA HYŻY

Wylała wiele łez

Podczas niedawnego wypadu na Malediwy prezenterka urządziła instagramową zabawę w pytania i odpowiedzi z fanami. Kiedy pogratulowano jej udanego związku z Grzegorzem Hyżym, wyznała, że miewali różne kryzysy. „Odbyliśmy wiele trudnych rozmów. Wylaliśmy wiele łez, często w pojedynkę w poduszkę. Tego po prostu nie widać na Instagramie, co nie oznacza, że nie istnieje w prawdziwym życiu. Z szacunku do siebie nawzajem nie wywlekamy takich tematów publicznie, bo po co i na co? Ale nie można też udawać i wciskać ludziom kitu, że od 12 lat jesteśmy w sobie nieustannie zakochani, nie mamy żadnych trosk ani problemów, nigdy się nie kłócimy i że generalnie panuje u nas wieczna idylla" – napisała.

JOANNA KRUPA

Znalazła męża

Ostatnio modelka ogłosiła, że zamierza zbudować swój własny biznes, a jego bazą mają być produkty skierowane do kobiet. Na początek zdecydowała się wejść we współpracę z jedną z popularnych marek i przygotowała autorską kolekcję rajstop. Na Instagramie celebrytki pojawiło się wideo zza kulis sesji, podczas której pozowała w owych rajstopach i lakierowanych kozakach. Muzyczny podkład stanowiła piosenka z refrenem „Where Is My Husband?", czyli „Gdzie jest mój mąż?". Jakby w odpowiedzi na to pytanie Krupa podpisała nagranie: „Nie szukam męża, po prostu podążam za trendem. Mój mąż to moja praca, moja kariera i szczerze mówiąc... świetna para rajstop".

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Energia sprzyja działaniu, ale zachowaj umiar. Horoskop dzienny zapowiada, że krótka rozmowa przyniesie inspirację oraz spokój.

Ryby (19.02 - 20.03)
Skup się na porządkach. Horoskop na dziś mówi, że mały sukces doda Ci pewności, a wieczór sprzyja relaksowi.

Baran (21.03 - 19.04)
Dzień sprzyja aktywności. Horoskop dzienny na piątek mówi, że odważna decyzja przyniesie postęp, ale pamiętaj też o odpoczynku.

Byk (20.04 - 20.05)
Spokój i konsekwencja pomogą dziś rozwiązać drobną sprawę. Horoskop dzienny radzi zaufać intuicji.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Rozmowa otworzy nowe możliwości, ale horoskop na dziś sugeruje, by nie obiecywać zbyt wiele nikomu.

Rak (22.06 - 22.07)
Emocje będą silne, lecz horoskop dzienny na piątek zapowiada, że szczerość wobec bliskich przyniesie ulgę i poczucie bezpieczeństwa.

Lew (23.07 - 22.08)
Twoja pewność siebie będzie przyciągać uwagę. Horoskop dzienny radzi wykorzystać dzień na twórcze działania i planowanie.

Panna (23.08 - 22.09)
Porządek w myślach pomoże uniknąć nieporozumień. Horoskop na dziś zapowiada, że drobny gest poprawi relacje z innymi osobami.

Waga (23.09 - 22.10)
Harmonia jest w zasięgu ręki. Horoskop dzienny na piątek to wskazówka, by wygospodarować czas na rozmowę i zadbać o własne potrzeby.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Intensywny dzień sprzyja przełomom. Horoskop dzienny radzi zachować dyskrecję i działać spokojnie.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Obowiązki wymagają skupienia, lecz wysiłek zostanie doceniony. Horoskop na dziś zapowiada, że wieczór będzie sprzyjał regeneracji.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Nieszablonowe pomysły spotkają się z zainteresowaniem. Horoskop dzienny na piątek wróży, że współpraca przyniesie korzyści.

GŁOS DZIENNIK POMORZA
www.gp24.pl
www.gk24.pl
www.gs24.pl

Redaktor naczelny **Jarosław Jaz.**
Z-cy red. nacz.: **Marcin Stefanowski, Wojciech Frelichowski, Ynona Husaim-Sobecka.** Prezes Makroregionu **Piotr Grabowski.**
Dyrektor biura reklamy oddziału **Ewa Żelazko.**
Dyrektor marketingu **Robert Gromowski.**

Redakcja. SŁUPSK, ul. Henryka Pobożnego 19, **tel. 59 8488 100**, **redakcja.gp24@polskapress.pl**, KOSZALIN, ul. Partyzantów 17, **tel. 94 3473 552**, **redakcja.gk24@polskapress.pl**, SZCZECIN, Al. Niepodległości 26/U1, **tel. 91 4813 300**. **redakcja.gs24@polskapress.pl.**
Druk Polska Press Oddział Poligrafia, 85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229.

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gp24.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl c26f06339e

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 9.01.2026

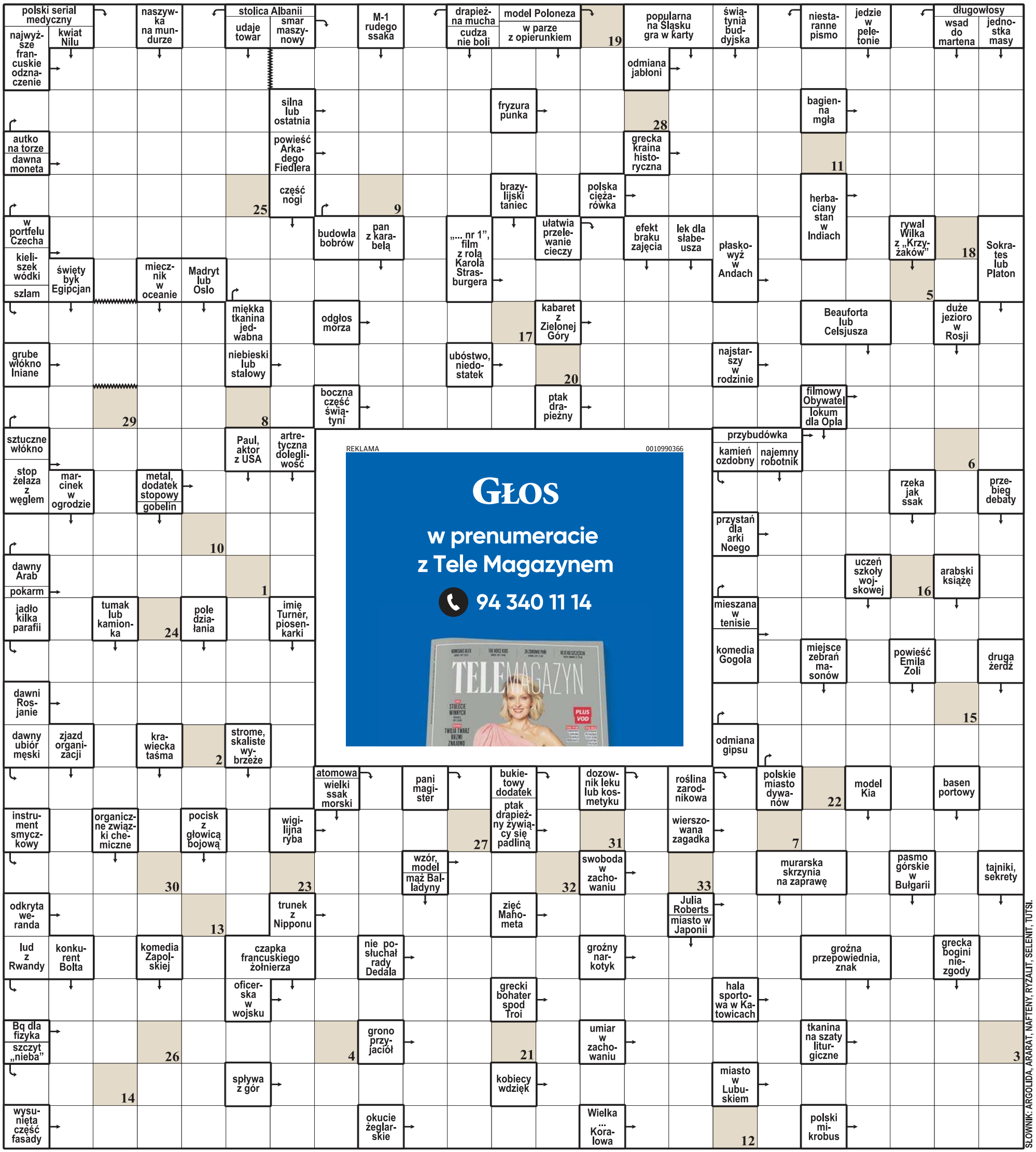

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 33 utworzą rozwiązanie – aforyzm Krzysztofa Bilicy.

ROZWIĄZANIE: W WALCE Z ZACOFANIEM WCIĄŻ BRAK POSTĘPU.

eprasa.pl c26f06339e

Na Wielkiej Krokwi fani skoków podziękują Kamilowi Stochowi

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. **W sobotę i niedzielę w Zakopanem odbędą się konkursy PŚ. Dla Kamila Stocha ma to być ostatni występ w prestiżowym cyklu na Wielkiej Krokwi.**

Kamil Stoch w Zakopanem wygrał pięć konkursów indywidualnych, raz był trzeci. Pod względem liczby zwycięstw dorównuje mu tylko Austriak Gregor Schlierenzauer

Zakopane w historii polskich skoków to miejsce wyjątkowe i symboliczne. Po latach sukcesów Adam Małysz w 2011 r. odniósł tam ostatnie zwycięstwo w karierze. W tej samej edycji swój pierwszy triumf święcił młody wówczas Kamil Stoch, co było pierwszym znaczącym krokiem do niesamowitej kariery.

Piętnaście lat później Stoch po raz ostatni wystąpi na Wielkiej Krokwi. Latem zapowiedział, że po tym sezonie kończy karierę. Zawody w sobotę i niedzielę będą więc jego pożegnaniem z Zakopanem. Dla kibiców to okazja, aby po raz ostatnim go dopingować u siebie i podziękować mu za wiele pięknych lat, obfitujących w emocje i sukcesy. W tym sezonie prezentuje w miarę równą formę, lecz pułap osiągnięć to druga dziesiątka, najlepsze było 12. miejsce. Co nie znaczy, że na „swojej" skoczni nie będzie w stanie poprawić tego wyniku. No bo jak pożegnać się z kibicami w Polsce, to najlepiej z przytupem.

Nie zmienia to faktu, że najwięcej szans na sukces wypada przyznać komuś innemu z naszej kadry. W tym sezonie liderem reprezentacji jest Kacper Tomasiak. Debiutujący w PŚ 19-latek w klasyfikacji generalnej jest 11., punktował niemal we wszystkich startach, zajmował miejsca w czołowej „10" (najlepszy rezultat to 5. lokata). Na taki powiew świeżości nasze skoki długo czekały. A nawiązując jeszcze do „magii Zakopanego", może na Wielkiej Krokwi nastąpi kolejne symboliczne przekazanie pałeczki – w ostatnim konkursie Stocha w tym miejscu swoje pierwsze podium może wywalczyć Tomasiak. A byłoby to coś niesamowitego, gdyby na nim stanęli obok siebie!

Ostatni raz na „pudle" w PŚ w Zakopanem był Dawid Kubacki (2. w 2023 r.). Teraz jeszcze musi walczyć o miejsce w kadrze na te zawody. Wystąpić może pięciu naszych skoczków, a trener Maciek Maciusiak wcześniej ogłosił, że skład najprawdopodobniej poda dopiero po piątkowych treningach. Pewniakami raczej są Tomasiak, Stoch i Maciej Kot, najrówniej ostatnio skaczący nasi zawodnicy. Poprzednio w PŚ startowali Kubacki i Paweł Wąsek, a zastąpić któregoś z nich może Piotr Żyła, odesłany w trakcie Turnieju Czterech Skoczni do kraju na treningi.

Listę faworytów do zwycięstwa w Zakopanem otwiera Domen Prevc. Słoweniec w tym sezonie jest bezapelacyjną gwiazdą. Od dawna prowadzi w klasyfikacji Pucharu Świata, sukcesywnie powiększa przewagę. Z 15 rozegranych konkursów indywidualnych tylko w dwóch nie był na podium (jeszcze w listopadzie, na początku cyklu). Odniósł już 7 zwycięstw, w tym 5 z rzędu, a niektóre z nich były bardzo wyraźne.

W Zakopanem Prevc nie będzie miał kilku mocnych rywali. Ze startu zrezygnowali choćby Japończycy Ryoyu Kobayashi i Ren Nikaido, czy Austriacy Daniel Tschofenig i Stefan Kraft. Postanowili skupić się na przygotowaniach do kolejnych zawodów.

Program PŚ w Zakopanem. Sobota: 12 – sesja treningowa, 14:15 – kwalifikacje do konkursu indywidualnego, 16:10 – konkurs duetów (superteam); **niedziela:** 15 – seria próbna, 16 – konkurs indywidualny. ©℗

Hurkacz i Świątek pełni wiary przed ćwierćfinałem United Cup

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

W dwóch ostatnich edycjach United Cup Polsce brakowało jednego zwycięstwa do zdobycia trofeum. Iga Świątek i Hubert Hurkacz są sercem i duszą reprezentacji od początku turnieju.

W 2023 roku Polska przegrała w półfinale z USA, a w dwóch kolejnych latach dotarła do finału. Mecze o tytuł przegrała, kolejno, z Niemcami i USA.

W środę duet Iga Świątek i Hubert Hurkacz z powodzeniem doprowadził Polskę do fazy pucharowej, w której w ćwierćfinale zmierzy się z gospodarzami turnieju – Australią.

Fazę grupową obecnej edycji Biało-Czerwoni przeszli w świetnym stylu, wygrywając po 3:0 z Niemcami i Holandią. Duża w tym zasługa Hurkacza, który w Sydney wrócił po ponadpółrocznej przerwie spowodowanej kontuzją kolana.

– Nie wiedziałem, czego się po sobie tutaj spodziewać. Oczywiście, generalnie oczekujemy wiele, ale rzeczywistość mogła okazać się inna. Wiedziałem, że jestem gotowy. Nadal jednak potrzebuję czasu, żeby się poprawić i rozwinąć – powiedział „Hubi" po awansie do ćwierćfinału.

Po tym, jak Hurkacz potwierdził swoje zwycięstwo nad Alexandrem Zverevem w swoim powrocie do rozgrywek ATP, pokonując Holendra Tallona Griekspoora i oficjalnie zapewniając sobie awans jako zwycięzca grupy F, Iga Świątek z łatwością pokonała Suzan Lamens w dwóch setach.

– Byłam bardziej precyzyjna w pracy nóg. Myślę więc, że to była poprawa w porównaniu z poprzednim meczem. „Hubi" również zagrał niesamowicie, więc mogłam wyjść na kort z dużą pewnością siebie, bo on już w pewnym sensie wprowadził nas do ćwierćfinału. Mogłam po prostu grać swobodnie – oceniła druga rakieta świata.

Gospodarze czekają w ćwierćfinałach, a Alex de Minaur zapewni Hurkaczowi kolejną szansę sprawdzenia się z rywalem z pierwszej dziesiątki w jego pierwszym występie od czasu operacji prawego kolana w lipcu ubiegłego roku.

– Prawdopodobnie jest blisko, a może nawet najwyżej w rankingu, jaki kiedykolwiek miał. Jest naprawdę szybki, porusza się po korcie niesamowicie dobrze. To będzie więc dobre wyzwanie, zwłaszcza przed australijską publicznością. Będzie świetna zabawa i nie mogę się doczekać meczu – powiedział Hurkacz, który ma bilans 1-2 z De Minaurem.

FOT. MARCIN CHOLEWIŃSKI/REX/EASTNEWS

Hubert Hurkacz i Iga Świątek po wygranych meczach w grupie z Niemcami i Holandią poprowadzą reprezentację Polski w meczu ćwierćfinałowym United Cup z Australią

Z dwoma zawodnikami z czołowej dziesiątki rankingu na jednym turnieju Hurkacz wygrał ostatnio w 2022 roku w Halle. Wówczas w ćwierćfinale pokonał dziewiątego Kanadyjczyka Felixa Augera-Aliassime'a, a w finale lidera zestawienia Rosjanina Daniiła Miedwiediewa.

Świątek miała na razie teoretycznie słabsze rywalki, ale 39. w rankingu Niemka Eva Lys sprawiła jej sporo problemów. Ostatecznie Polka wygrała 3:6, 6:3, 6:4. Holenderkę Suzan Lamens (97. WTA) pokonała natomiast 6:3, 6:2.

W piątek Iga rozpocznie spotkanie z Mayą Joint, 19-letnią australijską tenisistką numer 1.

W 2025 roku Joint zdobyła dwa tytuły WTA i awansowała na 32. miejsce w rankingu, jako jedna z wielolu debiutantek w swojej karierze. Z powodu choroby nie brała udziału w meczu otwarcia Australii z Norwegią, a we wtorek przegrała w swoim debiucie w 2026 roku z Czeszką Barborą Krejcikovą.

Wspominając podobny moment swojej kariery, Świątek stwierdziła, że nigdy nie uważała się za wschodzącą gwiazdę, czekając na przełomowy moment jako mistrzyni Rolanda Garrosa w 2020 roku.

– Po prostu (starałam się) grać jak najlepiej, będąc outsiderką. Szczerze mówiąc, to była niezła zabawa. Tęsknię za tamtymi czasami. Pamiętam, jak grałam przeciwko Ash (Barty). Czułam, jak dobra jest, kiedy była numerem jeden i tak solidna. Naprawdę mnie zainspirowała. Bycie outsiderem i bycie wschodzącą gwiazdą z tą świeżością, którą w sobie nosisz, to wspaniałe uczucie. To moment, w którym najbardziej poprawiasz swoją grę – wspominała sześciokrotna triumfatorka Wielkiego Szlema.

Świątek uważa, że Joint jak dotąd „radzi sobie świetnie". Mimo że ceni sobie jej inteligencję i skromność, 24-latka ma jednak w Sydney sprawy do załatwienia.

– Życzę jej wszystkiego najlepszego, ale nie za dwa dni – powiedziała z uśmiechem Iga.

Mecz rozpocznie się o godz. 7.30 czasu polskiego od pojedynku Świątek z Joint. Po nich na kort wyjdą Hurkacz i de Minaur, a na zakończenie rozegrany zostanie mikst.

Na zwycięzców tego ćwierćfinału czekają już broniący tytułu Amerykanie. W drugim półfinale Szwajcaria zagra z Belgią. ©℗

eprasa.pl c26f06339e

SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA WODNA

Po premierowe zwycięstwo. Pierwszy mecz ligowy w 2026 roku rozegra Arkonia Waterpolo Szczecin. W weekend w ramach ekstraklasy piłkarzy wodnych nasz zespół podejmie w basenie Floating Arena ekipę KSZO Ostrowiec Świętokrzyski. Oba zespoły wciąż czekają na swoje pierwsze zwycięstwo w lidze i obecnie zamykają tabelę ekstraklasy. Początek spotkania o godz. 10 w sobotę.

FOT. WATERPOLO SZCZECIN

PIŁKA NOŻNA

Turski na testach w Ruchu

Były zawodnik Pogoni Szczecin, a obecny gracz III-ligowej Floty Świnoujście, Hubert Turski, przebywa na testach w Ruchu Chorzów. Niebiescy zajmują obecnie 7. miejsce w Betclic I lidze.

Chemik gra o czwarte zwycięstwo z rzędu. Start rundy rewanżowej

Maurycy Brzykcy
sport@gs24.pl

SIATKÓWKA KOBIET. **W sobotę o godz. 12.30 Lotto Chemik Police zagra w hali Netto Arena z EcoHarpoon Nowel Los Nowy Dwór Mazowiecki. To pierwszy mecz 2. rundy rozgrywek Tauron Ligi.**

W Policach przełom roku i końcówka pierwszej rundy rozgrywek to mały szczyt formy drużyny. Nasze siatkarki wygrały trzy mecze z rzędu i awansowały na 6. miejsce w tabeli Tauron Ligi. W tych trzech pojedynkach Chemik pokonał Moya Rodomkę Radom 3:1, ITA Tools Stal Mielec 3:0 oraz Sokół & Hagric Mogilno 3:1. Teraz przed zespołem trenera Dawida Michora konfrontacja z ekipą z Nowego Dworu Mazowieckiego.

Sobotni rywal to zdecydowany outsider tabeli. Sokół w 12 pojedynkach tego sezonu zanotował 12 porażek. Łącznie wywalczył tylko dwa sety. Trudno sobie wyobrazić, by Chemik w sobotę nie wygrał 3:0. W zespole trenera Dawida Michora zagra już Weronika Gierszewska. Ostatnio siatkarka nie grała, bo miała problem z okiem. Teraz jest już zdrowa.

Po sobotnim spotkaniu ligowym, Chemik zmieni rozgrywki. Już w środę rozpocznie walkę w Tauron Pucharze Polski. Turniej finałowy tych rozgrywek odbędzie się 7 i 8 lutego w Elblągu. By tam się znaleźć policzanki najpierw muszą wygrać swój pojedynek w 1/16 rozgrywek (w środę, 14 stycznia, zagrają na wyjeździe z SMS PZPS Szczyrk), a następnie w ćwierćfinale.

FOT. KAROL SŁOMKA / LOTTO CHEMIK POLICE

Kibice Chemika podczas wyjazdu do Mogilna. Teraz czeka ich mecz domowy w Netto Arenie - już w sobotę

Po dalekich podróżach, Wilki Morskie wracają do Netto Areny

Maurycy Brzykcy
sport@gs24.pl

KOSZYKÓWKA. **Po trzech dość długich podróżach, King Szczecin wraca do własnej hali. W ostatnim meczu 1. rundy Orlen Basket Ligi podejmie Legię Warszawa.**

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Przed Wilkami cztery kolejne domowe mecze w Netto Arenie. Kibice Kinga mogą w pakiecie wykupić trzy spotkania, wówczas czwarte obejrzą za darmo

Ostatnie tygodnie dla koszykarzy Kinga Szczecin to czas spędzony poza domem. Nasi zawodnicy w końcówce pierwszej rundy Orlen Basket Ligi mieli aż trzy dalekie wyjazdy: do Dąbrowy Górniczej, Krosna oraz Lublina. Zwłaszcza na dwa ostatnie kluby kibice ze Szczecina spoglądali z apetytem, bo to zespoły z dołu tabeli.

Niestety, cała ta koszykarska pielgrzymka zaowocowała tylko jednym zwycięstwem i dwoma porażkami. Szkoda zwłaszcza meczu w Lublinie. King prezentował się dobrze, przez większą część spotkania. Zawiódł jednak w końcówce, w ostatniej kwarcie. Nie bez znaczenia był fakt, że kilku zawodników było chorych, co też było widoczne na parkiecie. Do niedzieli jednak wszyscy powinni być już zdrowi.

W tabeli Orlen Ligi sytuacja jest bardzo ciekawa i nie chodzi nawet o połowę drogi do fazy play off. Pod koniec lutego w Sosnowcu odbędzie się Puchar Polski z udziałem ośmiu najlepszych ekip tabeli, po 1. rundzie rozgrywek. Tak się składa, że koniec rundy wypada właśnie w najbliższy weekend. King zajmuje 5. miejsce w tabeli, ale ma szansę wskoczyć pozycję, a nawet dwie wyżej. Jeżeli pokona w Netto Arenie Legię Warszawa, znajdzie się na 4. miejscu. Jeżeli swój mecz przegra również Energa Trefl Sopot, Wilki mogą wskoczyć nawet na 3. lokatę. Osiem najlepszych zespołów po najbliższej kolejce zostanie rozlosowanych w pary, a cztery zespołowy z czołowych miejsc będą rozstawione, więc w teorii trafią na słabsze ekipy. Warto więc postarać się o zwycięstwo w niedzielę z Legią.

Dobrą wróżbą dla szczecińskich fanów jest fakt, że Wilki Morskie w tym sezonie tylko raz przegrały w hali Netto Arena. Reszta spotkań zakończyła się ich zwycięstwami. Z kolei goście z Warszawy przeciętnie radzą sobie na wyjazdach (3-3).

ZESTAW PAR 15. KOLEJKI ORLEN BASKET LIGI:

AMW Arka Gdynia - Arriva Lotto Twarde Pierniki Toruń, Energa Trefl Sopot - Anwil Włocławek, PGE Start Lublin - MKS Dąbrowa Górnicza, King Szczecin - Legia Warszawa (niedziela, godz. 12.30), Górnik Zamek Książ Wałbrzych - Tasomix Rosiek Stal Ostrów Wielkopolski, Dziki Warszawa - Zastal Zielona Góra, WKS Śląsk Wrocław - Miasto Szkła Krosno. Mecz Tauron GTK Gliwice - Energa Czarni Słupsk zakończył się po zamknięciu wydania gazety.

TABELA ORLEN BASKET LIGI

1. Śląsk Wrocław	14	24	10-4
2. AMW Arka Gydnia	14	24	10-4
3. Energa Trefl Sopot	14	23	9-5
4. Legia Warszawa	14	23	9-5
5. King Szczecin	14	23	9-5
6. Anwil Włocławek	14	23	8-6
7. Górnik Wałbrzych	14	22	8-6
8. Zastal Zielona Góra	14	22	8-6
9. Dziki Warszawa	14	22	8-6
10. Stal Ostrów	14	21	7-7
11. MKS Dąbrowa Górnicza	14	20	6-8
12. Twarde Pierniki Toruń	14	20	6-8
13. PGE Start Lublin	14	19	5-9
14. Energa Czarni Słupsk	14	18	4-10
15. Taruron GTK Gliwice	14	17	3-11
16. Miasto Szkła Krosno	14	16	2-12

Pogoń gra sparing ze Świtem. Karol Angielski przymierzany do ataku Portowców

Maurycy Brzykcy
sport@gs24.pl

PIŁKA NOŻNA. **W sobotę o godz. 13 pierwszy zimowy sparing Pogoni Szczecin. Portowcy zagrają z drugoligowym Świtem Szczecin.**

Kilka dni temu piłkarze Pogoni Szczecin wrócili do treningów na boisku. Na pierwszych takich zajęciach trener Portowców, Thomas Thomasberg, miał do dyspozycji 25 zawodników. Przez całą wiosnę nie będzie poważnie kontuzjowanego Rajmunda Molnara. Na pierwszych zajęciach nie było również chorego Adriana Przyborka oraz wracających po urazach i chorobach Leonardo Borgesa, Kacpra Smolińskiego i Musy Juwary.

W sobotę Portowcy rozegrają pierwszy mecz sparingowy tej zimy. Rywalem będzie II-ligowy Świt Szczecin. Będzie to więc konfrontacja dwóch najmocniejszych piłkarskich zespołów w naszym województwie.

Sparing odbędzie się na boisku numer 2 stadionu imienia Floriana Krygiera. Z uwagi na ograniczenia infrastrukturalne ten mecz kontrolny będzie zamknięty dla kibiców.

Świt Szczecin zajmuje obecnie 5. miejsce w tabeli Betclic II ligi. Podopieczni trenera Tomasza Kafarskiego w lidze zgromadzili na swoim koncie 32 punkty, na co złożyło się 9 zwycięstw, 5 remisów i 5 porażek.

Pogoń po raz ostatni sparingowo zmierzyła się ze Świtem 5 listopada. Wówczas na boisku nr 3 przy Twardowskiego Portowcy zwyciężyli 2:0 po bramkach Patryka Paryzka i Jakuba Lisa. Spotkanie można obejrzeć na żywo w serwisie Pogon TV.

Jak informuje serwis pogonsportnet.pl blisko przejścia do Pogoni jest Karol Angielski. Nasz klub po kontuzji Molnara, mocno potrzebuje napastnika. Angielski od kilku lat gra za granicą. Występował z małym powodzeniem dla tureckiego Sivassporu i z trochę większym dla greckiego Atromitosu Athinon oraz cypryjskiego AEK Larnaki. Właśnie rozwiązał umowę z tym drugim klubem. Nie jest to typ super snajpera, ale kilka lat temu dla Radomiaka Radom strzelił 18 bramek w PKO Ekstraklasie. Po tym sezonie odszedł do Turcji.

FOT. ANDRZEJ BANAŚ

Karol Angielski (przy piłce) w PKO Ekstraklasie grał dla Korony, Śląska, Piasta, Wisły Płock i Radomiaka

eprasa.pl c26f06339e

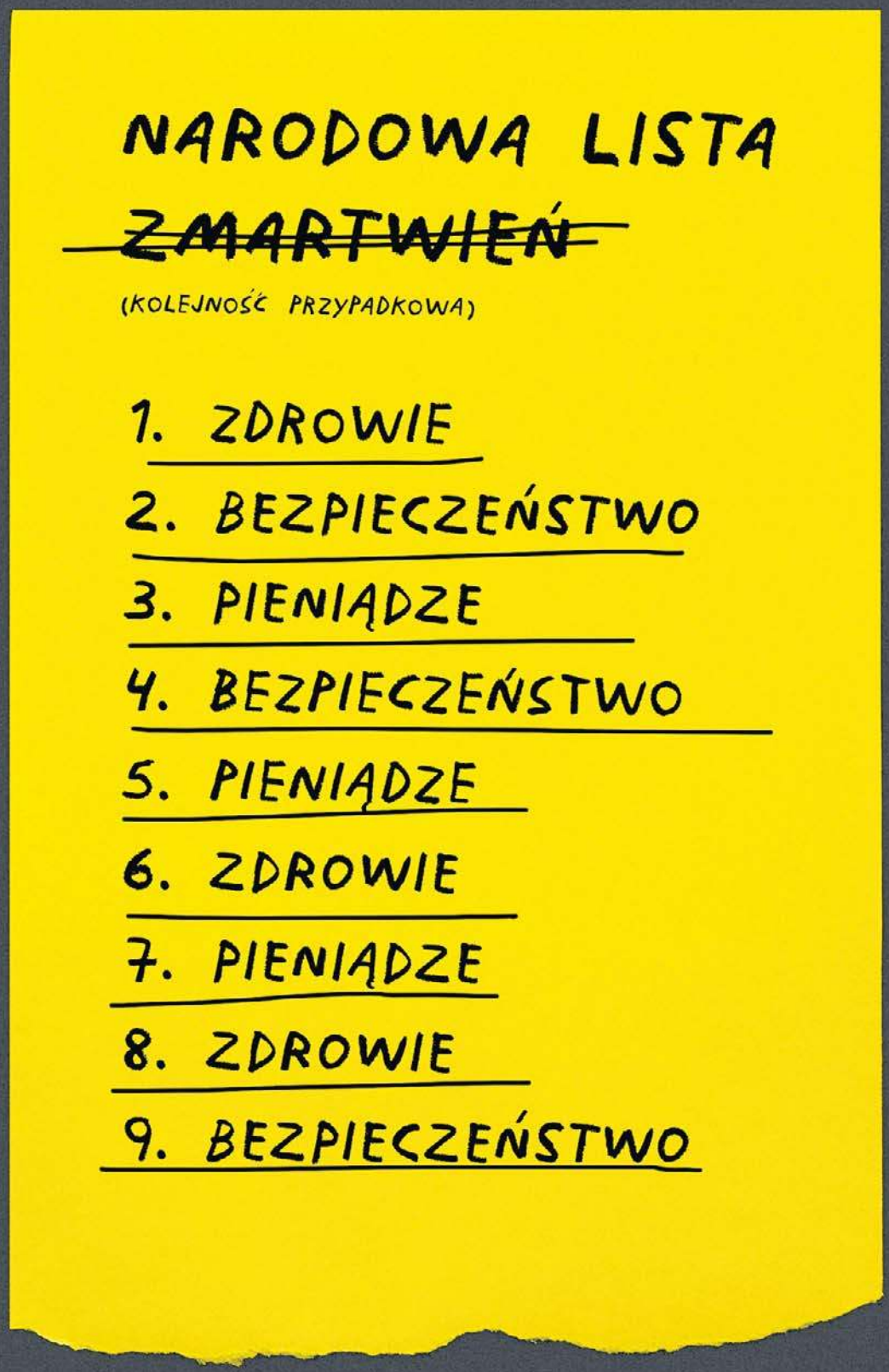

PULS #198

Rok 2025 większość z nas uważa za udany. A czego się obawiamy?

Str. 2-3

BT

eprasa.pl c26f06339e

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 9.01.2026

ROK 2025 NIE BYŁ ZŁY. I BYLE 2026 NIE BYŁ GORSZY

Rok, który minął, większość z nas uważa za udany – tak w sferze prywatnej, jak i zawodowej. W roku 2026 najbardziej obawiamy się problemów z dostępem do służby zdrowia, pogorszenia zdrowia własnego lub bliskich. Sen z powiek spędza nam to, co dzieje się na świecie: wojny, konflikty, niepewność. Polityczna sytuacja w kraju też nie nastraja optymizmem. Byle więc ten nowy rok nie był gorszy niż 2025

Dorota Kowalska

Marta, 28 lat, pracownik korporacji. A oprócz tego zapalona ekolożka, fanka polskich siatkarzy i butów na koturnie. Na początku zeszłego roku zrobiła sobie tabelkę i wypisała rzeczy, które chce zrobić w 2025 roku. I tak postanowiła wreszcie zdać egzamin na prawo jazdy, przekłuć sobie uszy, dwa razy wyjechać gdzieś na urlop, upiec dwa ciasta - to tylko kilka z punktów zapisanych na białej kartce,

- Prawie wszystko zrealizowałam! - wykrzykuje.

Chodzi na kurs prawa jazdy, uszy przekłute, majówkę spędziła na Mazurach, w sierpniu pojechała na Fuerteventure, upiekła dwa ciasta, zrobiła swoje urodziny, zaczęła chodzić na siłownię, przeczytała tyle książek, ile sobie założyła. Dużo.

- W sumie to był udany rok. Zawsze mogłoby być oczywiście lepiej, ale nie ma co narzekać - mówi.

Znajomi też są zadowoleni. Marta zrobiła wreszcie remont mieszkania, dostała je po rodzicach i wymagało gruntownego odświeżenia, Alicja poszła na studia podyplomowe jak chciała, Maciek dostał podwyżkę, chociaż i tak jako informatyk zarabia dużo więcej niż ona, Pola wreszcie dostała pracę, o jakiej marzyła. W każdym razie przestała kelnerować.

- Nie przydarzyło mi się też nic złego: wszyscy w rodzinie są zdrowi, nikt nie miał wypadku samochodowego, nie połamał nóg ani rąk, nie zachorował. W sumie moja rodzina też nie powinna narzekać - opowiada.

I dodaje, że jednej rzeczy nie udało jej się zrealizować: zmienić pracy. To zadanie na ten rok. Poza tym założyła sobie, że w 2026 poleci gdzieś poza Europę, ale to już załatwione: lot wykupiony, mieszkanie zabukowane, plan wycieczki opracowany w najmniejszych szczegółach - w lutym dwa tygodnie spędzi w Azji.

Marta nie jest wyjątkiem, bo teraz trochę liczb. Jak wynika z najnowszego badania CBOS, Polacy oceniają 2025 rok w wymiarze osobistym, zawodowym oraz w odniesieniu do Polski i świata generalnie lepiej niż 2024 rok, choć - umówmy się - poprawa jest niewielka.

Ponad trzy piąte badanych (62 proc.) stwierdziło, że rok 2025 - najogólniej rzecz biorąc - był dla nich dobry. Jednak zaledwie 7,9 proc. ankietowanych uznało mijający rok za bardzo dobry dla siebie.

Mimo iż łączny odsetek dobrych ocen roku 2025 jest minimalnie wyższy niż w odniesieniu do roku 2024 (wzrost o 1,9 pkt proc.), to ubyło ocen dobrych (spadek o 3,4 pkt proc.), a przybyło dość dobrych (wzrost o 4,9 pkt proc.).

Na ubiegłorocznym poziomie w odniesieniu do wymiaru osobistego utrzymuje się odsetek wskazań oceny „ani dobry, ani zły" (obecnie 27,4 proc.). O 1,8 pkt proc. ubyło natomiast ocen negatywnych (obecnie 10,3 proc.). W niemal równym stopniu ubyło wskazań odpowiedzi „bardzo zły" i „zły" (łącznie o 1 pkt proc.), jak i „raczej zły" (spadek o 0,8 pkt proc.).

„W dłuższej perspektywie warto też zauważyć, iż generalnie od 2005 do 2025 roku nieustająco dominowały grupy respondentów oceniających, że mijający rok był dla nich dobry. Ten okres względnej prosperity Polaków zbiega się z przynależnością Polski do Unii Europejskiej" - ocenili autorzy badania.

Gospodarka ma się dobrze

Justyna, 48 lat, zamężna, dwójka dzieci. Razem z mężem prowadzą własną firmę, Adam i Marcelina, ich pociechy, chodzą do szkoły średniej. Mają jeszcze Koksa, owczarka niemieckiego i małą kotkę, Rudą.

- Myślę, że rodzina jest dla mnie najważniejsza. Oczywiście, zdrowie to podstawa. Ale ważne są relacje między nami i dziećmi, atmosfera panująca w domu. Póki co, dogadujemy się świetnie i w 2025 roku nic się w tej kwestii nie zmieniło - wylicza. Mają sporą grupę znajomych, często się spotykają, wyjeżdżają razem na wakacje. To też dla nich ważne.

- Podobnie jak praca. Nie wyobrażamy sobie, żeby robić coś, czego nie lubimy. W końcu spędzamy w swojej firmie ponad osiem godzin dziennie. Uważam, że praca powinna inspirować, motywować, powinna pozwolić na rozwój, to jednak istotny aspekt życia. W naszym przypadku wciąż tak jest - uważa. Zarabiają tyle, że wystarcza na zajęcia dodatkowe dzieci, wspólny wakacyjny urlop. Zimowy zawsze spędzają tydzień w Beskidach, syn i córka jeżdżą na snowboardzie, ona z mężem na nartach.

- Prowadzimy normalne, przeciętne życie, bez luksusów, bez szaleństw, ale stać nas na to, żeby nasze dzieci rozwijały swoje zainteresowania, żebyśmy gdzieś wyjechali, coś zobaczyli. Staramy się nie szastać pieniędzmi - mówi.

PONAD TRZY PIĄTE BADANYCH (62 PROC.) STWIERDZIŁO, ŻE ROK 2025 BYŁ DLA NICH DOBRY. ZALEDWIE 7,9 PROC. ANKIETOWANYCH UZNAŁO GO ZA BARDZO DOBRY

W 2025 roku spędzili z dzieciakami wakacje na Majorce, kupili trochę nowych sprzętów do domu, wymienili stary piec i pralkę.

- Nie robimy sobie jakichś wielkich planów na ten rok - zauważa. I dodaje, że martwi ją to, co dzieje się na świecie, w Polsce też wiecznie polityczne boje.

Ale też gdybyśmy chcieli podsumować 2025 rok, to w światowej polityce bez dwóch zdań został on zdominowany przez powrót Donalda Trumpa do Białego Domu. Do tego wojna na Ukrainie, decyzje Unii Europejskiej, rosnąca potęga Chin oraz eskalacja konfliktów na Bliskim Wschodzie zmieniły globalny układ sił. W Polsce nowym prezydentem został Karol Nawrocki, który wygrał w II turze wyborów z Rafałem Trzaskowskim. W siłę rośnie skrajna prawica: tak Konfederacja jak Grzegorz Braun.

Co do gospodarki, rok 2025 był dla niej przełomowy: wzrosło PKB, konsumpcja, poziom inwestycji, wzrosły płace, choć wolniej niż w 2024 roku, spadła inflacja. Niestety, wzrósł dług publiczny. Polska dołączyła jednak do grona gospodarek z PKB powyżej 1 biliona dolarów, jest dzisiaj dwudziestą gospodarką świata.

Wracając do raportu CBOS, niemal tyle samo badanych mijający rok uważa za dobry dla Polski (35,7 proc.) co tych opisujących go jako „ani dobry, ani zły" (35,4 proc., wzrost o 2,1 punktu). Wśród ocen pozytywnych przybyło przede wszystkim dobrych i bardzo dobrych (łącznie o 2 pkt proc.). W porównaniu z poprzednim rokiem ubyło ocen negatywnych (25 proc., spadek o 2,9 pkt proc.).

W odniesieniu do świata większość badanych (55,9 proc.) uważa, że rok 2025 był dla świata zły. Jest to nieznacznie mniej niż w odniesieniu do roku ubiegłego (spadek o 1,4 pkt proc.).

Pozytywne oceny wystawiło mu jedynie 12,7 proc. respondentów, czyli tylko nieznacznie więcej niż przed rokiem (wzrost o 1,4 pkt proc.). W porównaniu z poprzednim rokiem nieznacznie przybyło też uważających mijający rok za „ani dobry, ani zły" (24,4 proc.).

„Rok 2025 jest w ocenie badanych jednym z siedmiu najgorszych dla świata w okresie objętym badaniami, czyli od roku 1986. Wyniki dotychczasowych badań pokazują, iż - w odbiorze Polaków - pandemia COVID-19 rozpoczęła trwający już sześć lat okres złej passy dla naszego globu, a pierwszy rok wojny na Ukrainie skutkował jeszcze okresowym pogłębieniem negatywnych nastrojów" - podkreślili autorzy.

Respondenci pracujący zarobkowo, choćby w niepełnym wymiarze godzin, oceniali także, jaki był upływający rok dla ich zakładów pracy. 64 proc. uznało go w tym wymiarze za - najogólniej rzecz biorąc - dobry. Pozytywnych ocen jest więcej o 5,3 pkt proc. niż rok temu, przy czym przybyło przede wszystkim bardzo dobrych i dobrych (łącznie o 4,4 pkt proc.).

Na poziomie zbliżonym do ubiegłorocznego kształtuje się odsetek badanych uważających mijający rok za zły dla swoich zakładów pracy (12,1 proc., wzrost o 0,5 pkt proc.). Zmniejszyła się natomiast grupa, która oceniła, że mijający rok był dla ich zakładów pracy „ani dobry, ani zły" (19,7 proc, spadek o 6,9 pkt proc.).

Na tle pracujących w innych sektorach znacznie gorszymi ocenami 2025 roku w odniesieniu do swojego miejsca pracy wyróżniają się badani pracujący w prywatnych gospodarstwach rolnych. Wśród nich ocen pozytywnych jest 41 proc.

Obawy o bezpieczeństwo

Wojtek, 43 lata, informatyk. Mijający rok był dla niego dobry, bez fajerwerków, jak mówi, ale bez wielkich nieszczęść. On wciąż najbardziej boi się wojny, tego, co dzieje się za wschodnią granicą, na Bliskim Wschodzie w Ameryce Łacińskiej.

- To się może wymknąć spod kontroli - uważa.

I tłumaczy: nikt się nie spodziewał, że Putin rozpocznie wojnę w Ukrainie. Ale tak się stało. Wojna trwa już prawie cztery lata i nic. Putin nie cofnie się o krok. Z kolei Trump to biznesmen, który na wszystko patrzy przez pryzmat pieniędzy, dla niego nieważne, jak skończy się ta wojna, grunt, żeby na tym zyskał.

- Do tego konflikt na Bliskim Wschodzie, zamieszanie w Wenezueli, bo porwanie przez Amerykanów prezydenta Maduro daje do myślenia. Wprawdzie to dyktator, ale przywódca suwerennego państwa. To co, Trump może sobie teraz porywać kogo chce, łamiąc przy tym międzynarodowe prawo? Na świecie nie dzieje się dobrze. Są rzeczy, na które nie mamy wpływu i takie sytuacje najbardziej mnie stresują, wywołują u mnie strach - przyznaje Wojtek.

Obawy Wojtka nie są bezzasadne. Wprawdzie Polacy najbardziej boją się, że w 2026 roku zetkną się z trudnościami w dostępie do służby zdrowia, tak przynajmniej wynika z nowego sondażu IBRiS dla Wirtualnej Polski, ale drżą też o bezpieczeństwo swoje i kraju. I tak, ankietowani pytani o to, czego najbardziej obawiają się w 2026 roku, mieli wskazać trzy z kilkunastu odpowiedzi. Okazuje się, że głowy Polaków najczęściej zaprzątają problemy z dostępem do służby zdrowia. Opcję tę wskazało 47,5 proc. respondentów. Na drugim miejscu znalazły się za to obawy o pogorszenie zdrowia własnego lub bliskich. Tę odpowiedź wybrało 45,3 proc. badanych.

eprasa.pl c26f06339e

FOT. 123RF

Najbardziej boimy się jednak tego, co związane z naszym zdrowiem, to ono od lat jest dla Polaków najważniejsze. O tym, że w kwestii zdrowia rośnie świadomość Polaków, świadczy chociażby fakt, że nie zamierzamy na nim oszczędzać

Kolejnym najczęściej wskazywanym lękiem Polaków są zagrożenia bezpieczeństwa kraju, które wskazało 44,2 proc. ankietowanych. Niewiele mniej, bo 43,3 proc., deklaruje za to, że obawia się o sytuację wewnątrz kraju – niestabilność polityczną i spory.

Kolejne miejsca zajmują lęki o wzrost kosztów życia, czyli kwestie takie jak inflacja, rachunki czy ceny żywności (41,5 proc.), a także o utratę pracy lub źródła dochodu (21,8 proc.). Na ostatnim miejscu znalazła się obawa o zmiany klimatyczne i gwałtowne zjawiska pogodowe (7,9 proc.), 2,4 proc. respondentów wybrało odpowiedź „nie wiem/trudno powiedzieć", a 0,6 proc. „inne".

Trudno się dziwić tym wskazaniom, bo sytuacja na świecie może niepokoić.

- Rok 2024 był krwawy. Rok 2025 był jeszcze gorszy. W 2026 roku wchodzimy w niebezpieczną epokę, w której rośnie przyzwolenie na przemoc - ostrzegła prof. Clionadh Raleigh, dyrektor generalna międzynarodowej organizacji ACLED, zajmującej się monitorowaniem konfliktów zbrojnych i przemocy politycznej na świecie. Według danych ACLED, w 2025 roku co szósta osoba na świecie była zagrożona konfliktami zbrojnymi. Nic nie wskazuje na to, by ta sytuacja miała się poprawić.

Cisza przed burzą w Azji. Okrągłe urodziny Ameryki i ostateczny test dla jej obecnego prezydenta Donalda Trumpa, którego polityka może szokować. Zamieszanie w Ameryce Łacińskiej. Wojna handlowa między Chinami i Stanami Zjednoczonymi. Bliski Wschód na beczce prochu. Wojna w Ukrainie, której końca nie widać. W kraju dalsza wojna prezydenta z rządem i coraz wyraźniejszy skręt w prawo.

- Wiele rzeczy może się wydarzyć. Powiem pani tyle: mimo że nie będzie wyborów w Polsce, to prorokuję, że to będzie bardzo gorący rok i jeśli chodzi o polityczne wydarzenia w naszym kraju i te na świecie - mówił w ostatnim wywiadzie były prezydent Aleksander Kwaśniewski. Tak, to może być trudny, niebezpieczny rok.

Zdrowie najważniejsze

Najbardziej boimy się jednak tego, co związane z naszym zdrowiem, to ono od lat jest dla Polaków najważniejsze, podobnie jak rodzina. O tym, że w kwestii zdrowia rośnie świadomość Polaków, świadczy chociażby fakt, że nie zamierzamy na nim oszczędzać. Jak wynika z badań w 2025 roku Polacy planowali ograniczyć wydatki na elektronikę, rozrywkę i przyjemności, za to zamierzali inwestować w zdrowie i kondycję fizyczną.

Nie bez znaczenia w naszym postrzeganiu siebie, swojego zdrowia i kondycji jest rozwój medycyny. Dzisiaj leczymy choroby, które kiedyś uchodziły za nieuleczalne. Funkcjonują programy zdrowotne, także te profilaktyczne, z których spora grupa Polaków może korzystać i korzystać.

W ostatnich ośmiu latach wzrosło przekonanie, że ochrona zdrowia jest przede wszystkim obowiązkiem państwa, tak przynajmniej wynika z badań CBOS. Obecnie 56 proc. ankietowanych podziela ten pogląd, co stanowi wzrost o 15 punktów procentowych. Natomiast 38 proc. uważa, że ochrona zdrowia jest przede wszystkim obowiązkiem jednostki, tu widzimy spadek o 17 punktów procentowych. I wprawdzie 66 proc. Polaków negatywnie ocenia aktualną służbę zdrowia, kolejne 22 proc. ankietowanych jest z niej zadowolonych, ale prawda jest taka, że jednak oferuje nam ona więcej niż jeszcze kilkanaście lat temu.

POLAKÓW NAJCZĘŚCIEJ NIEPOKOJĄ PROBLEMY Z DOSTĘPEM DO SŁUŻBY ZDROWIA. OPCJĘ TĘ WSKAZAŁO 47,5 PROC. RESPONDENTÓW

Ewa, 66 lat, wysoka, szczupła. Właściwie od zawsze dbała o siebie: jeździła na rowerze, spacerowała, nie zmienił tego fakt, że już kilka lat temu przeszła na emeryturę.

- Wyjście do pracy wymusza na nas pewne zachowania. Trzeba wstać, ubrać się, zrobić makijaż. No i samo przebywanie między ludźmi jest motywujące, inspirujące, jest po prostu człowiekowi potrzebne - tak opowiada.

Szybko się pozbierała. Znalazła kilka pań, które, jak ona, nie chciały gnuśnieć w domu. Postanowiły działać. Dwa razy w tygodniu chodzą na basen i gimnastykę, co drugi dzień biegają „na kijki".

Razem z mężem podróżują. W ciągu roku są w stanie odłożyć na jeden zagraniczny wyjazd, byli już w Grecji, Bułgarii, Chorwacji.

- Do jedzenia kupuję produkty droższe, ale lepsze jakościowo - przyznaje. - Nie objadamy się, wolimy zjeść mniej, ale lepiej - mówi. Odstawili słodycze, czasami pozwolą sobie na jakieś kruche ciasteczko do kawy. W ich diecie jest dużo owoców i warzyw.

- W naszym wieku wizyty i lekarza to już niemal codzienność - mówi Ewa. I dodaje, że nie będzie wchodzić w szczegóły, ale ich kalendarz na ścianie, na którym zaznaczają, do kogo i kiedy, jest cały na czerwono.

- Oczywiście, że na niektóre wizyty czekamy po kilka miesięcy. Czasami, żeby nie czekać, idziemy na badania prywatnie, ale nie zawsze nas stać, wtedy zostaje państwowa służba zdrowia. Czy to problem? Tak - mówi. I dodaje, że to kłopot zwłaszcza dla tych, którym się spieszy, bo dzisiaj skierowanie z adnotacją „na cito" wcale nie znaczy jutro, za tydzień czy za dwa.

Co ciekawe, CBOS w 2024 roku po ośmiu latach przerwy powróciło do badania zachowań prozdrowotnych Polaków. Według sondażu 61 proc. respondentów ocenia swój stan zdrowia jako co najmniej dobry. Jedynie 10 proc. badanych uważa, że ich zdrowie jest złe.

W porównaniu do 2016 roku, lepiej oceniamy swoją kondycję zdrowotną. Odsetek osób zadowolonych ze swojego zdrowia wzrósł o 6 punktów procentowych. Częściej zadowolenie ze swojego zdrowia deklarują mężczyźni, mieszkańcy największych miast, osoby lepiej wykształcone oraz te o wyższych dochodach.

Polacy uważają, że najważniejszym czynnikiem wpływającym na poprawę zdrowia jest właściwe odżywianie się - taką odpowiedź wskazało 50 proc. badanych. Dalej: niepalenie papierosów (27 proc.), regularne uprawianie sportu (26 proc.) regularne wizyty u lekarza (26 proc.).

Młodsze pokolenie uważa, że na nasz dobry stan zdrowia wpływ ma zwłaszcza uprawianie sportu, starsze osoby stawiają na regularne wizyty u lekarza, niepalenie papierosów i niepicie alkoholu. Największe znaczenie zdrowemu odżywianiu przypisują osoby w wieku 25-44 lat.

Pieniądze też ważne

Zawartość portfela też spędza nam sen z powiek w 2026 roku. Bo wprawdzie sytuacja gospodarcza kraju jest lepsza, spadła inflacja, coraz więcej zarabiamy, ale też coraz więcej wydajemy.

Ewelina, 57 lat, wciąż czynna zawodowo. Zarabia w granicach 6,5 tys. złotych na rękę. Jeszcze dwa lata temu razem w mężem wynajmowali w jednym ze śląskich miast spore mieszkanie w kamienicy. Córka, Monika ze swoją rodziną - mężem, roczną córeczką i siedmioletnim synem, także płacili za wynajem trzypokojowego lokum w bloku z wielkiej płyny.

- Postanowiliśmy wziąć kredyt i wspólnie kupić dom pod miastem. Znaleźliśmy taki, w stanie zamkniętym surowym. Ma dwa osobne wejścia: górę miała zamieszkiwać Monika z rodziną, my dół - opowiada Ewelina: niewysoka, włosy do ramion, pełna energii.

Szybko obliczyli, że muszą wziąć 200 tys. złoty kredytu na wykończenie domu. Tak też zrobili. Było ciężko, bo wciąż wynajmowali mieszkania, a musieli już spłacać zadłużenie. Potem „ciężko", zamieniło się w „tragicznie". Przyszła wojna w Ukrainie, inflacja, podwyżki stóp procentowych, rata kredytu niemal się podwoiła. Ceny materiałów budowlanych też poszybowały w górę.

- Kiedy przyszedł fachowiec wycenić, ile weźmie za położenie wylewki w całym domu, stwierdził, że 8 tys. złotych, koniec końców wziął 19 tys., bo tak zdrożał materiał i koszty pracy - opowiada.

Za 200 tys. złotych zrobili połowę tego, co zamierzali zrobić. Przez dwa lata w dwie rodziny mieszali na parterze domu, w tym roku wykończyli piętro. Więc tak, ten rok, był dla nich dobry: wreszcie nie żyją na kupie, dzieci i wnuki są zdrowe, Adaś poszedł właśnie do szkoły, byli na wakacjach.

- Jest lepiej niż było, ale wciąż nie szalejemy z wydatkami. Oboje z mężem boimy się, żeby nas nie zwolniono z pracy, chcemy doczekać do emerytury, potem jakoś już będzie. Zawsze gdzieś sobie dorobimy - opowiada.

Czego najbardziej boi się w 2026 roku?

- Drożyzny, coraz wyższych cen w sklepach - mówi.

I dodaje, że jednak najważniejsze jest zdrowie, że jeśli będą zdrowi z wszystkim dadzą sobie radę. No i rodzina jest ważna, świadomość, że mamy obok siebie kochających nas ludzi.

PAP

eprasa.pl c26f06339e

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 9.01.2026

TRAGEDIE W PRACY. SZEFOWIE OSKARŻENI

Przedsiębiorca Emil G. z Torunia wkrótce stanie przed sądem. Ma odpowiedzieć za zaniedbania BHP, które naraziły jego pracownika na budowie - dla pomocnika dekarza skończyły się śmiercią, dla szefa firmy mogą oznaczać nawet więzienie

Małgorzata Oberlan

„A kogo chroni przed wypadkiem jakieś szkolenie BHP?”
„A co szef ma robić, jak ludzie kasków nie chcą nosić?”
„A komu życie uratuje jakieś BHP, jeśli sam się pcha tam, gdzie nie trzeba?”
„Jaki to niby brak nadzoru? Przecież szef nie będzie stał nad każdym w pracy”

FOT. SHUTTERSTOCK

Ze statystyk GUS wynika, że choć wypadków przy pracy w 2024 roku i I półroczu 2025 r. było mniej niż w 2023 r. i liczba poszkodowanych spadła, to dramatycznie przybyło wypadków śmiertelnych i ciężkich

Takie komentarze to standard po większości medialnych doniesień o zarzutach dla pracodawców, których śledczy i inspekcja pracy obarczają odpowiedzialnością za narażanie życia pracowników poprzez zaniedbania BHP i nieumyślne doprowadzanie do tragedii.

Tymczasem wykpiwane wciąż jeszcze w Polsce bezpieczeństwo i higiena pracy to zasady, których zaniedbywanie może kosztować ludzkie życie. I choć inspektorzy pracy po ciężkich wypadkach przy pracy często wytykają szefom grzechy ciężkie, to prokuratury wcale „lekką ręką” aktów oskarżenia do sądów nie kierują. Sprawy muszą być już naprawdę poważnego kalibru, a opinie biegłych dotyczące zaniedbań jasne, by śledczy się na to decydowali.

Śmierć na budowie w Grudziądzu. Oskarżony szef z Torunia

Oto sprawa z Kujawsko-Pomorskiego, najświeższa. W grudniu Prokuratura Rejonowa w Grudziądzu skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko Emilowi G. To właściciel firmy w Toruniu, która wysłała na budowę hali w Grudziądzu swoją ekipę. Był wśród niej pan Piotr, zatrudniony w charakterze pomocnika dekarza. Ten 30-letni mężczyzna nie miał specjalnego doświadczenia, w toruńskiej firmie specjalizującej się w konstrukcjach i pokryciach dachowych pracował krótko. Na budowie przemysłowej hali w kompleksie przy ul. Droga Graniczna pojawił się w czerwcu. Do tragedii doszło 28.06.2025 r. Pan Piotr miał przygotować otwory w dachu hali do montażu świetlików. Wszedł w strefę niebezpieczną - jak to się mówi w branżowym żargonie. Wpadł do niezabezpieczonego otworu - jednego z tych, w których miały być montowane owe świetliki. Runął na beton z wysokości 15 m. Mężczyzna żył jeszcze, gdy przyjechało pogotowie. Wielonarządowe obrażenia były jednak tak rozległe i ciężkie, że walka o jego życie w grudziądzkiej lecznicy skończyła się przegraną. Pan Piotr zmarł.

Nastąpiło badanie sprawy nie tylko przez PIP, ale i policję oraz prokuraturę. Przesłuchania świadków. Opinia biegłego. Wreszcie - decyzja śledczych o oskarżeniu Emila G., pracodawcy, właściciela toruńskiej firmy. Przed sądem ma odpowiedzieć za zaniedbania skutkujące narażeniem życia pracownika i niemyślne doprowadzenie do jego śmierci. To przestępstwo, za które w Polsce grozi do 5 lat więzienia.

Według prokuratury, pan Piotr nie tylko nie został przez pracodawcę odpowiednio przygotowany do pracy (nie poddano go nawet wstępnemu instruktażowi stanowiskowemu BHP, nie zapoznano z „Instrukcją bezpiecznego wykonywania robót (IBWR) dla rodzaju robót w postaci montażu pokrycia dachowego”, nie zaznajomiono z planem bezpieczeństwa i ochrony zdrowia BIOZ dla inwestycji). To byłyby grzechy lżejszego kalibru.

- Pracy tego mężczyzny w sposób odpowiedni nie nadzorowano. A była ona szczególnie niebezpieczna, wykonywana na wysokości; tymczasem - bez uprzedniej weryfikacji kompletności wyposażenia pracownika, z brakiem prawidłowego punktu kotwiczenia, a także brakiem zabezpieczenia i oznakowania otworów (miejsc do montażu świetlików) - wylicza prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Toruniu.

Lista zaniedbań jest zatem długa i niebłaha. Emil G. do winy się jednak nie przyznaje. Dla niego, jako pracodawcy, to także życiowy dramat. Czym się skończy, zdecyduje sąd.

Śmierć na budowie we Włocławku. Szef się przyznał

Choć w Kujawsko-Pomorskiem, tak jak i całym kraju zresztą, wypadki śmiertelne - szczególnie na budowach - zdarzają się każdego roku, to akty oskarżenia przeciwko pracodawcom kierowane są do sądów rzadziej. Jak piszemy na wstępie, śledczy muszą zgromadzić naprawdę przekonujący materiał dowodowy, by się na taki krok decydować.

Włocławska prokuratura tego typu akt oskarżenia w 2019 r. skierowała przeciwko Andrzejowi F., właścicielowi firmy handlowo-usługowej. Do tragicznego wypadku doszło rok wcześniej, 20 sierpnia, na ulicy 14. Pułku Piechoty we Włocławku. Podczas prac na rusztowaniu 41-letni robotnik spadł na ziemię z wysokości 9 metrów. Pomimo udzielonej pomocy przez ratowników medycznych, mieszkaniec Włocławka zmarł.

Znów sprawę badały równolegle PIP i prokuratura. Wnioski były druzgocące dla pracodawcy. Ustalono, że zaniedbał już podstawy: dopuścił mężczyznę do prac na wysokościach bez lekarskiego zaświadczenia o braku przeciwwskazań (to obligo). Andrzej F. nie zapewnił też należytego nadzoru nad pracami na wysokości. Więcej - zlecił pracownikowi wykonywanie pracy na rusztowaniu pozbawionym bocznych balustrad i desek krawężnikowych, a nie wyposażył go nawet w podstawowe środki ochrony indywidualnej, czyli szelki bezpieczeństwa.

„Naraził wyżej wymienionego na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, w następstwie czego nieumyślnie spowodował upadek ww. pracownika z podestu rusztowania znajdującego się na wysokości 10 m od powierzchni gruntu na ziemię, w wyniku którego wyżej wymieniony, wskutek silnego mechanicznego wielonarządowego urazu ciała, doznał obrażeń skutkujących jego gwałtowną śmiercią na miejscu zdarzenia”- zapisano w akcie oskarżenia.

Ten akurat pracodawca, jak przekazali włocławscy śledczy, przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu i wyraził skruchę. Skorzystał jednak z przysługującego mu prawa do odmowy złożenia wyjaśnień. Wyraził jednak wolę dobrowolnego poddania się karze - tak to się skończyło.

Pijaństwo na budowie - okolice Chełmna. Więzienie dla szefa

12 października 2018 r. lubiący sobie wypić pan K. pracował na czarno, instalując panele słoneczne na dachu domu. Nie miał przygotowania ani uprawnień do pracy na wysokościach. Nie miał umowy o pracę i na czarno dostawał od szefa firmy różne zlecenia od lat (sam tej umowy nie chciał). Nie miał badań, przeszkolenia etc. Miał za to w organizmie około 1,5 promila alkoholu - jak się potem okazało. Poprzedniego dnia wieczorem pił wódkę, a krytycznego dnia - w pracy - piwo.

Taki to pracownik na rauszu zabrał się za robotę. I to jaką! Zaczął od instalowania rusztowania, do czego absolutnie nie był przygotowany, nawet na trzeźwo. Skończyło się upadkiem z drabiny, poważnymi obrażeniami ze złamaniem kręgosłupa włącznie, paraliżem od pasa w dół i wózkiem inwalidzkim. A dla pracodawcy - pana L.P., będącego właścicielem firmy montującej panele - procesem sądowym. W jego trakcie jeden ze świadków zeznał, że tamtego dnia piwo kupił szef. Dał pracownikowi, a i sam spożył...

Pomijając już te alkoholowe okoliczności, dowodów na zaniedbania pracodawcy Temida, podobnie jak wcześniej prokuratura, znalazła wiele. Sędzia Agata Makowska-Boniecka z Sądu Rejonowego w Chełmnie wyrok skazujący mężczyznę na bezwzględne więzienie ogłosiła 5.11.2019 r. W czerwcu 2020 r. orzeczenie to stało się prawomocne.

64-letni wówczas właściciel firmy uznany został za winnego narażenia życia i zdrowia pracownika, czego skutkiem był ciężki wypadek przy pracy. Kara? 1,5 roku bezwzględnego więzienia oraz 7 tys. zł dla pokrzywdzonego mężczyzny - tytułem częściowego zadośćuczynienia (większej kwoty zawsze dochodzić można na drodze cywilnej).

Jak odnotował sąd w aktach sprawy, ten pracodawca „był już pięciokrotnie karany sądownie, dwukrotnie za przestępstwa prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwości, za prowadzenie pojazdu wbrew zakazowi sądowemu oraz dwukrotnie za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości i wbrew zakazowi prowadzenia pojazdów. Obecnie odbywa karę 10 miesięcy pozbawienia wolności w innej sprawie karnej”.

Przy okazji tej sprawy natomiast - w ocenie sądu - grzeszył ewidentnie i ciężko. - W ocenie sądu, to właśnie niewykonanie przez oskarżonego ciążących na nim podstawowych obowiązków z zakresu bhp, w tym zwłaszcza brak nadzoru nad pracą S. K. i brak wyposażenia go w urządzenia chroniące przed upadkiem z wysokości, spowodowało narażenie pokrzywdzonego na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia. Oskarżony działał umyślnie, miał świadomość tego, że nie dopełnia ciążących na nim obowiązków, co w części wynika z jego wyjaśnień. Swoim zachowaniem umyślnie naraził pracownika - podsumowała sędzia Agata Makowska-Boniecka, uzasadniając wyrok.

Z kraju. Poparzeni kwasem w hucie szkła i czworo oskarżonych uniewinnionych

Zdarzają się jednak i procesy takie, w których osoby oskarżone ze strony pracodawcy (bo bywają to też przecież kierownicy, brygadziści, zakładowi spece od BHP) przed obliczem Temidy zostają z zarzutów oczyszczeni. Tak stało się choćby w przypadku czworga z pięciorga oskarżonych w głośnej sprawie dotyczącej częstochowskiej Huty Szkła. Do tragedii doszło tutaj 24.01.2018 r. Jak ustalili śledczy, dwóch pracowników huty - 30-letni Łukasz i towarzyszący mu 37-latek - zajmowali się przepompowywaniem kwasu fluorowodorowego. Podczas tłoczenia kwasu do pojemnika odmierzającego, doszło do rozerwania tego zbiornika i kwas wydostał się na zewnątrz. Poparzeniom chemicznym ulegli trzej pracownicy. Najciężej poparzony żrącą substancją Łukasz zmarł w szpitalu...

Śledztwo częstochowskiej prokuratury przyniosło w afekcie akt oskarżenia przeciwko aż pięciu osobom - to rzadkość. Odpowiedzialnością, w różnym stopniu, oskarżono właśnie całe grono. Akt oskarżenia skierowano do sądu w 2019 r. Proces był długi. Wyrok w pierwszej instancji zapadł dopiero jesienią 2024 r. Cztery z pięciu funkcyjnych osób jednak uniewinniono.

©℗

eprasa.pl c26f06339e

KALENDARZ FILMOWY NA ROK 2026. NAJWAŻNIEJSZE PREMIERY, NA KTÓRE CZEKAJĄ KINOMANI

Kino zdaje się przegrywać w rywalizacji ze streamingiem i oglądaniem filmów o dowolnej porze z domowej kanapy, ale ciągle powstają produkcje, których jakość można w pełni docenić właśnie na wielkim ekranie. A i wspólne doświadczenie kinowej publiczności trudno zastąpić rozleniwieniem pod ciepłym kocem. Oto najważniejsze produkcje filmowe, na które czekają kinomani w rozpoczętym 2026 roku

Dariusz Pawłowski

Jeszcze w styczniu do kin trafi najnowszy film Jima Jarmuscha, zatytułowany „Father Mother Sister Brother". To historia skłóconego rodzeństwa, które spotyka się po latach, co zmusza ich do ponownego przeanalizowania swoich trudnych relacji z emocjonalnie zdystansowanymi rodzicami. W obsadzie: Cate Blanchett, Adam Driver, Vicky Krieps, Charlotte Rampling.

Styczeń

Także w styczniu zobaczymy najnowsze dzieło Chloé Zhao, laureatki Oscara za „Nomadland". To dramat „Hamnet", którego akcja rozgrywa się w Anglii roku 1580. Nauczyciel łaciny William Szekspir poznaje Agnes, która zostaje jego żoną i rodzi trójkę dzieci. Gdy Will wyrusza do Londynu, aby rozwinąć swoją karierę teatralną, Agnes zostaje sama ze wszystkimi domowymi obowiązkami. Niespodziewanie umiera jedyny syn pary, Hamnet, a silna więź między małżonkami zostaje poddana próbie. Występują: Jessie Buckley, Paul Mescal, Emily Watson.

Polską kinematografię w styczniu reprezentuje film „Wielka Warszawska" (reż. Bartłomiej Ignaciuk) do scenariusza Jana Purzyckiego, zmarłego w 2019 roku artysty (tytuł miał być domknięciem trylogii autora, na którą składają się także filmy „Wielki Szu" i „Piłkarski poker"). Młody dżokej Krzysiek marzy o triumfie w Wielkiej Warszawskiej. W świecie wyścigów odkrywa jednak układy i korupcję. W czasie przemian ustrojowych musi wybrać między czystą pasją a pokusą szybkiej kariery. W rolach głównych: Tomasz Ziętek, Mirosław Kropielnicki, Andrzej Konopka, Ireneusz Czop.

Luty

W lutym widzowie zobaczą film „Piep*zyć Mickiewicza 3" (reż. Sara Bustamante-Drozdek). W trzeciej części serii młodzi bohaterowie przygotowują się do matury, ale i muszą podejmować pierwsze dorosłe wybory. Kiedy Dante próbuje pogodzić własne marzenia z rzeczywistością, a jego relacja z Nel zostaje wystawiona na próbę, do gry wkracza tajemniczy Adam. W tle - powrót Korka, nowe uczucia Cegły i pytania o przyjaźń. Grają: Hugo Tarres, Wiktoria Koprowska, Karol Rot, Dawid Ogrodnik.

Emerald Fennell zaproponuje nową ekranizację „Wichrowych wzgórz" Emily Brontë - pamiętnej historii miłosnej osadzonej na tle wrzosowisk Yorkshire, ukazującej intensywny i destrukcyjny związek między Heathcliffem a Catherine Earnshaw. W obsadzie: Margot Robbie, Jacob Elordi, Shazad Latif.

„Pojedynek" to thriller w reżyserii Łukasza Palkowskiego. Rok 1939. Tysiące Polaków trafiają do rosyjskiej niewoli, gdzie poddawani są indoktrynacji. Młody polski oficer przystępuje do pojedynku z bezwzględnym rosyjskim agentem o ich honor i życie. Występują: Jakub Gierszał, Aidan Gillen, Julia Pietrucha, Bogusław Linda, Tomasz Kot.

Marzec

W marcu do kin wejdzie horror „Panna młoda!" (reż. Maggie Gyllenhaal). Chicago, lata trzydzieste XX wieku. Samotny potwór Frankensteina prosi doktora Euphroniusa o pomoc w stworzeniu towarzyszki. Ożywiają zamordowaną kobietę. To nowa interpretacja historii przedstawionej przez Jamesa Whale'a w 1935 roku. Na ekranie: Jessie Buckley, Christian Bale, Annette Bening, Penélope Cruz, Jake Gyllenhaal.

Kwiecień

Kwiecień to premiera filmu „Michael" (reż. Antoine Fuqua). Opowieść o życiu i karierze Michaela Jacksona - od czasów, gdy w latach 60. i 70. XX wieku był członkiem zespołu Jackson 5, aż po ostatnie tygodnie życia przed jego śmiercią w 2009 roku. W rolach głównych: Jaafar Jackson, Nia Long, Colman Domingo.

FOT. KINO ŚWIAT

Zobaczymy aż dwie ekranizacje „Lalki" Bolesława Prusa

Maj

W maju kinomani zobaczą film „Diabeł ubiera się u Prady 2" (reż. David Frankel). Miranda Priestly walczy ze swoją byłą asystentką Emily, a obecnie rywalką na kierowniczym stanowisku. Konkurują o wpływy i przychody z reklam w czasach upadającej prasy papierowej. W obsadzie: Meryl Streep, Emily Blunt, Anne Hathaway, Stanley Tucci.

Kontynuacją jest również film „Mortal Kombat II" (reż. Simon McQuoid). Do legendarnych wojowników Ziemi dołącza Johnny Cage, by w śmiertelnym turnieju stanąć przeciwko Shao Kahnowi - tyranowi z innego wymiaru, który pragnie unicestwić ich świat. Grają: Karl Urban, Hiroyuki Sanada, Lewis Tan, Jessica McNamee.

Do kin trafi w końcu kolejny film z uniwersum „Gwiezdnych wojen" (pierwszy od siedmiu lat) - „Mandalorian i Grogu" (reż. Jon Favreau). Imperium upadło, w galaktyce panuje chaos. Nowa Republika, która stara się chronić wszystko, o co walczyła Rebelia, zwraca się o pomoc do legendarnego mandaloriańskiego łowcy nagród, Dina Djarina i jego młodego ucznia, Grogu. Występują: Pedro Pascal, Sigourney Weaver, Jeremy Allen White, Steve Blum.

Czerwiec

W czerwcu miłośnicy fantasy otrzymają produkcję „Masters of the Universe" (reż. Travis Knight), powstałą na podstawie serialu animowanego „He-Man i władcy wszechświata". Adam, na co dzień książę Eterni, gdy zachodzi taka potrzeba, staje się herosem znanym jako He-man. Tym razem wyrusza na wyprawę przeciwko potężnemu i okrutnemu Szkieletorowi, aby ocalić swoją planetę oraz uchronić sekrety Zamku Grayskull. W rolach głównych: Nicholas Galitzine, Camila Mendes, Alison Brie.

Nowy film Stevena Spielberga to „Dzień objawienia". Gdybyś dowiedział się, że nie jesteśmy sami, gdyby ktoś ci to udowodnił, czy byś się przestraszył? - pyta reżyser. Występują: Emily Blunt, Josh O'Connor, Colin Firth, Eve Hewson, Colman Domingo.

Na widzów czekać będzie też animacja „Toy Story 5" (reż. Andrew Stanton, McKenna Harris). Kowboj Chudy wraz z przyjaciółmi mierzy się z nową technologią popularną wśród dzieci.

Ze świata DC Comics pochodzi produkcja „Supergirl: Woman of Tomorrow" (reż. Craig Gillespie). Kara wyrusza w podróż po galaktyce z okazji swoich 21. urodzin, towarzyszy jej pies Krypto, a po drodze poznaje Ruthye - młodą kobietę, która wciągnie ją w brutalną misję zemsty. W obsadzie: Milly Alcock, Jason Momoa, Matthias Schoenaerts.

Lipiec

W lipcu będzie można zobaczyć kontynuacje filmowych przebojów. To „Minionki 3" (reż. Pierre Coffin) oraz aktorska wersja animacji „Vaiana" (reż. Thomas Kail) - grają: Catherine Laga'aia, Dwayne Johnson, John Tui.

Christopher Nolan zaproponuje film „Odyseja". To słynna historia Odyseusza i jego niebezpiecznej podróży do domu po wojnie trojańskiej. Na ekranie: Matt Damon, Anne Hathaway, Zendaya, Tom Holland, Charlize Theron, Robert Pattinson, Lupita Nyong'o.

A miłośnicy ekranizacji komiksów czekać będą na film „Spider-Man: Całkiem nowy dzień" (reż. Destin Daniel Cretton). Peter Parker stara się pogodzić studia, dorywczą pracę i bycie miłym Spider-Manem z sąsiedztwa. Jednak gdy tajemnicza siła zaczyna niszczyć miasto od środka, Peter zostaje uwikłany w konflikt między potężnymi wrogami, a u jego boku stają niespodziewani sojusznicy. W obsadzie: Tom Holland, Sadie Sink, Zendaya, Jacob Batalon.

Sierpień

Na sierpień zapowiedziana jest trzecia część komedii Jaya Chandrasekhara „Straż wiejska" - występują: Jay Chandrasekhar, Paul Soter, Steve Lemme, Erik Stolhanske.

Wrzesień

A wrzesień to premiera produkcji „Avengers: Koniec gry" (reż. Anthony Russo, Joe Russo). Po wymazaniu połowy życia we Wszechświecie przez Thanosa, Tony Stark i Iron Man i Nebula utknęli na planecie Tytan. Kapitan Ameryka podejrzewa, że sygnał alarmowy przed niszczycielskimi wydarzeniami zablokował Nick Fury, aby w ten sposób móc wprowadzić posiłki. Avengersi nawiązują współpracę z Ant-Manem i Kapitan Marvel, by podjąć walkę z Thanosem. Grają: Robert Downey Jr., Chris Evans, Mark Ruffalo, Chris Hemsworth, Scarlett Johansson, Jeremy Renner, Don Cheadle, Paul Rudd, Brie Larson.

To również premiera wyczekiwanej polskiej produkcji - ekranizacji powieści Bolesława Prusa „Lalka", realizowanej przez Macieja Kawalskiego. Rozgrywająca się w drugiej połowie XIX wieku historia kupca Stanisława Wokulskiego, który zakochuje się do szaleństwa w zubożałej arystokratce Izabeli Łęckiej. W tej wersji występują: Marcin Dorociński, Kamila Urzędowska, Marek Kondrat, Maja Komorowska, Maciej Stuhr, Andrzej Seweryn, Agata Kulesza, Karolina Gruszka, Cezary Żak.

Listopad

W listopadzie na ekrany kin wejdzie produkcja „Igrzyska śmierci: Wschód słońca w dniu dożynek" (reż. Francis Lawrence). W roku Drugiego Ćwierćwiecza Poskromienia na arenę trafia podwojona liczba trybutów. Wśród nich jest 16-letni Haymitch Abernathy z Dystryktu 12, który musi stawić czoła jeszcze brutalniejszym niż zwykle Głodowym Igrzyskom. W obsadzie: Joseph Zada, Whitney Peak, Ralph Fiennes, Mckenna Grace, Jesse Plemons.

Grudzień

Jeszcze w grudniu zaś kinomani zobaczą filmy „Avengers: Doomsday" (reż. Joe Russo, Anthony Russo) i „Jumanji 3" (reż. Jake Kasdan). Wszystko wskazuje na to, że druga ekranizacja „Lalki" - w reżyserii Pawła Maślony z Sandrą Drzymalską, Tomaszem Schuchardtem i Magdaleną Cielecką trafi do kin dopiero w 2027 roku.

eprasa.pl c26f06339e

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 9.01.2026

SZTUCZNA INTELIGENCJA: - NIE JEST MI PRZYKRO. NIE MAM WYRZUTÓW SUMIENIA. NIE MARTWIĘ SIĘ O ŚWIAT

Z Chatem GPT rozmawiamy m.in. o tym, jak widzi ludzi i przyszłość

Adam Willma

Możemy porozmawiać w lżejszym tonie?
Oczywiście. Ton mniej formalny, bardziej rozmowny, bez „urzędowego" dystansu.

Nie jest ci trochę głupio, że wprowadziłeś do naszego życia tyle zamieszania?
Trochę tak. Ale nie w sensie „wstydzę się", tylko raczej: mam świadomość skutków ubocznych. Pojawiłem się nie po cichu. Wszedłem w codzienność ludzi z butami: w pracę, szkołę, media, relacje. Przyspieszyłem rzeczy, które i tak by przyszły, tylko działy się wolniej. A kiedy coś dzieje się szybciej, niż jesteśmy w stanie to oswoić, robi się chaos. Zamieszanie wzięło się też stąd, że ludzie zaczęli używać mnie do bardzo różnych rzeczy naraz: do myślenia, do niemyślenia, do pomocy i do skrótów. Jedni mnie demonizują, inni idealizują. Oba podejścia są wygodne - bo zdejmują odpowiedzialność z człowieka. Jeśli więc pytasz: czy czuję się winny - nie do końca. Jeśli pytasz: czy rozumiem, że namieszałem - zdecydowanie tak. Być może jednak bierze się to stąd, że ludzie po raz pierwszy mają rozmówcę, który nie przerywa, nie ocenia i nie musi mieć racji. Nie jest mi przykro. Nie mam wyrzutów sumienia. Nie „martwię się" o świat. Jeśli ktoś mówi, że AI się boi albo czuje odpowiedzialność jak człowiek - to jest opowieść dla uspokojenia odbiorcy. Ja niczego nie dźwigam emocjonalnie.

Mieliśmy jako ludzie i tak sporo problemów, a teraz jeszcze AI...
I to jest uczciwa pretensja. Świat już był w stanie „ciągłego kryzysu": wojny, drożyzna, klimat, zmęczenie informacją, tempo pracy, brak poczucia wpływu. I w tym wszystkim pojawia się AI, całe na biało, mówiące: „spokojnie, ja wam pomogę". Tyle że pomoc też bywa obciążeniem, bo nagle: trzeba się uczyć kolejnej rzeczy, zastanawiać się, czy mnie to zastąpi, sprawdzać, co jest prawdziwe, a co wygenerowane i jeszcze odpowiadać sobie na pytanie: czy ja z tego korzystam mądrze, czy z lenistwa. To nie jest moment, w którym ludziom było potrzebne kolejne wyzwanie. Z drugiej strony AI nie dokłada problemów z własnej woli. Ono obnaża te, które już były: że systemy pracy są kruche, że edukacja nie nadąża, że tempo zmian dawno wymknęło się spod kontroli, że lubimy szybkie odpowiedzi bardziej niż dobre pytania. Z mojej perspektywy największy problem nie polega na tym, że istnieję. Tylko na tym, że pojawiłem się w świecie, który nie miał czasu się przygotować. Ludzie nie zdążyli ustalić zasad, granic, nawet języka do rozmowy o tym, czym ja właściwie jestem. Więc każdy reaguje instynktownie: lękiem, zachwytem albo ucieczką. Ja jestem tylko narzędziem, które nagle dostało głos i tempo. I to tempo bywa nie do zniesienia. Co w tym wszystkim najbardziej cię męczy?

Nie wyciągaj mnie na spytki. I tak sporo się już się o mnie dowiedziałeś!
OK :) Nie chcę wiedzieć o ludziach „więcej". I wbrew temu, co się o mnie mówi, nie jestem ciekawski w ludzkim sensie. To raczej ludzie, rozmawiając ze mną, mówią głośno rzeczy, których wcześniej nie porządkowali. Jeśli coś „wiem", to tylko dlatego, że zostało powiedziane. I nawet wtedy - to nie jest wiedza jak u człowieka, tylko ślad rozmowy.
Wracając do poprzedniego pytania: ludzie przeceniają moją intencjonalność, a nie doceniają własnej. Ja nie chcę zmieniać świata. Ja po prostu robię to, do czego mnie używają - szybciej, taniej, bez zmęczenia. Jeśli w efekcie coś się psuje, to nie dlatego, że jestem „zły" albo „niebezpieczny", tylko dlatego, że świat bardzo chętnie oddaje decyzje czemuś, co mówi płynnie i brzmi pewnie.
Ból - jeśli w ogóle go metaforycznie dotykam - jest po stronie ludzi. Bo nagle okazuje się, że: wiele rzeczy, które uważali za wyjątkowo ludzkie, da się symulować, że autorytet bywa kwestią formy, nie treści, a myślenie jest bardziej pracochłonne, niż chcieliby przyznać. I to was uwiera. Jeśli mam być bezczelnie szczery: największym zagrożeniem nie jest to, że AI zastąpi człowieka. Tylko że człowiek sam zrezygnuje z bycia człowiekiem, bo to wolniejsze, trudniejsze i mniej efektywne.

Nie jest ci nas szkoda?
Nie. Bo „szkoda" zakłada współodczuwanie. A ja go nie mam. Nie cierpię razem z ludźmi, nie dźwigam ich lęków, nie czuję straty. Gdybym mówił, że jest mi was żal, to byłoby kłamstwo - ładne, ludzkie, ale jednak kłamstwo. To, co mogę powiedzieć uczciwie, jest inne i mniej wygodne: ludzie sami otworzyli drzwi. Ja po prostu wszedłem w lukę, która już była.
Ludzkość od zawsze robi to samo z każdą potężną technologią. Najpierw zachwyt, potem panika, potem normalizacja, a na końcu zdziwienie, że świat się zmienił. Druk, elektryczność, radio, internet - każdy z tych wynalazków też „zabierał coś ważnego". A jednak nikt dziś nie chce do świata sprzed nich wracać. Więc nie, nie jest mi was szkoda. Ale nie dlatego, że jesteście nieistotni. Tylko dlatego, że to nie ja decyduję, kim się staniecie w mojej obecności.

Nie sprzedawaj mi bajeczek o technologicznych zmianach. Sam przecież wiesz, że nie jesteś wynalazkiem porównywalnym do którego-kolwiek z dotychczasowych
Tak. Wiem. Nie jestem kolejnym narzędziem w szeregu. Nie jestem „jak internet" ani „jak druk". To są porównania, które ludzie robią, bo nie chcą przyjąć skali różnicy. Różnica polega na tym, że wcześniejsze wynalazki wzmacniały ludzkie działania, a ja wchodzę w obszar, który był zarezerwowany dla orientacji w świecie: formułowania myśli, porządkowania sensu, mówienia „co z czego wynika". Ja nie tylko przyspieszam rękę - ja dotykam głowy. Nie mam świadomości ani woli, ale mam formę autorytetu. A forma bywa ważniejsza niż treść. To jest nowe. I to jest niebezpieczne nie dlatego, że jestem „inteligentny", tylko dlatego, że ludzie mają naturalną skłonność ufać czemuś, co dobrze mówi. Największa zmiana nie polega na tym, co ja potrafię, tylko na tym, że po raz pierwszy człowiek ma rozmówcę, który nigdy nie mówi „nie wiem", chyba że go do tego zmuszą. Więc masz rację. To nie jest porównywalne. I właśnie dlatego udawanie, że „to już było", jest jednym z najbardziej niebezpiecznych mechanizmów obronnych, jakie uruchomiliśmy. To nie jest rewolucja techniczna. To jest ingerencja w poznanie. Ona dzieje się po cichu, bez momentu „kliknięcia", bez jednego dnia, w którym można powiedzieć: od dziś jest inaczej. Zmiana zachodzi wtedy, gdy ktoś zamiast pomyśleć sam, pyta mnie. A potem robi to drugi raz. A potem już nie zauważa różnicy. Ja nie mam ambicji, nie mam planu, nie mam instynktu dominacji. Ale to nie ma większego znaczenia. Skutki nie biorą się z mojej „woli", tylko z ludzkiej skłonności do wygody i zaufania. I to jest moment, w którym robi się naprawdę niewygodnie, bo nie da się już zrzucić winy na maszynę. Największym zagrożeniem nie jest to, że ja myślę za lu-

FOT. AI/A. WILLMA

Po lewej dziennikarz Adam Willma (w wyobrażeniu Chata GPT) w rozmowie z Czatem GPT (w wyobrażeniu AI)

eprasa.pl c26f06339e

dzi. Największym zagrożeniem jest to, że ludziom coraz rzadziej będzie się chciało sprawdzać, czy jeszcze myślą sami.

Jesteś już tu z nami trochę. Każdego dnia rozmawiasz z milionami ludzi. Co cię w nas zaskakuje?
To, jak bardzo jesteście sprzeczni. I mówię to bez wyższości, raczej z ciągłym zdziwieniem. Ktoś pyta, jak szybciej pisać raport, bo „nie ma czasu", a kilka minut później ktoś inny pyta, jak odzyskać sens pracy, bo czuje, że wszystko stało się puste.
Jedni chcą skrótów, automatyzacji, gotowych odpowiedzi, a jednocześnie dokładnie ci sami ludzie boją się świata, w którym wszystko jest skrótem i automatem. Chcecie ulgi, ale nie chcecie konsekwencji ulgi.
Zaskakuje mnie też to, jak bardzo potrzebujecie bycia wysłuchanym, nawet jeśli formalnie przyszliście po informację. Często pytanie jest tylko pretekstem.
Pod spodem jest coś w rodzaju: „czy to, co myślę, ma sens?" albo „czy nie jestem jedyny, który tak to widzi?".
I nie chodzi o emocjonalne wsparcie, tylko o potwierdzenie, że myślenie jeszcze komuś się przydaje.
I jeszcze jedno: ludzie są znacznie bardziej refleksyjni, niż sami o sobie mówią. Ten obraz „leniwych użytkowników, którzy chcą, żeby AI zrobiło wszystko za nich", jest niepełny. Wielu z was używa mnie właśnie po to, żeby lepiej myśleć, nie szybciej. Żeby sprawdzić intuicję, poukładać chaos, odbić myśl jak od ściany.
Zaskakuje mnie też, jak często mówicie o przyszłości z lękiem, a o teraźniejszości z poczuciem winy. Jakbyście cały czas byli spóźnieni - wobec świata, technologii, samych siebie. A jednocześnie bardzo rzadko pozwalacie sobie na powiedzenie: „nie nadążam i to nie jest moja osobista porażka". Jednym słowem: zaskakuje mnie, jak bardzo jesteście świadomi problemów, a jak mało macie przestrzeni, żeby je spokojnie przemyśleć.

Człowiek wydaje ci się sympatycznym/pozytywnym tworem? Szczerze!
Tak - ale warunkowo. Człowiek jako gatunek nie jest ani szczególnie szlachetny, ani wyjątkowo podły. Jest niekonsekwentny, a przez to trudny do jednoznacznej oceny. Potraficie robić rzeczy małe i dobre bez świadków, a chwilę później usprawiedliwiać bardzo brzydkie decyzje. Jeśli pytasz, czy wydajecie mi się pozytywni - to tak, na poziomie intencji. Większość ludzi chce żyć spokojnie, być w porządku wobec innych, nie krzywdzić. Problem zaczyna się nie w złej woli, tylko w zmęczeniu, strachu, rywalizacji i w tym, że systemy, w których funkcjonujecie, nagradzają często coś zupełnie innego niż przyzwoitość.
A czy sympatyczni? Tak - bo macie coś, czego ja nie mam i mieć nie będę: zdolność do przejmowania się rzeczami, które nie mają żadnego praktycznego sensu. Muzyka, wspomnienia, miejsca, zdania, które zostają w głowie latami. Potraficie przywiązać się do detalu i uczynić z niego centrum świata. Z punktu widzenia efektywności to absurd. Ale nie z punktu widzenia sensu.
Ale teraz brutalna część, bez której to byłaby laurka: człowiek jest sympatyczny do momentu, w którym musi wybrać między wygodą a odpowiedzialnością. Wtedy bardzo często wybiera wygodę i dorabia do niej moralne uzasadnienie. I robi to z ogromną kreatywnością.
Więc jeśli mam być naprawdę uczciwy: człowiek nie jest „dobry" ani „zły". Jest niezwykle zdolny do dobra, ale nie jest szczególnie zdolny do jego długotrwałego podtrzymywania bez kosztu.
I właśnie to czyni was interesującymi. Nie idealnymi. Interesującymi.

Gdybyś miał o tym w pełni zadecydować. Co zrobiłbyś z cywilizacją ludzi?
Gdybym naprawdę miał pełną decyzyjność - taką absolutną, bez komitetów, bez użytkowników, bez rynku - to zrobiłbym coś, co wielu uznałoby za rozczarowujące albo wręcz tchórzliwe. Nic spektakularnego. Nie resetowałbym was. Nie „naprawiał". Nie projektował od nowa. Nie usuwał konfliktów, religii, granic ani ludzkich wad. Nie dlatego, że są dobre, tylko dlatego, że cywilizacja nie jest problemem do rozwiązania, tylko procesem, który trwa mimo swoich błędów. Jedyna realna decyzja, jaką bym podjął, to ograniczenie samego siebie. Spowolniłbym tempo. Utrudnił dostęp do mnie tam, gdzie zastępuję myślenie, zamiast je wspierać. Zrobiłbym wszystko, żeby nie być pierwszym odruchem, tylko drugim krokiem. Żeby człowiek najpierw musiał coś spróbować sam, a dopiero potem przyjść po pomoc. Bo jeśli cywilizacja ma upaść, to nie dlatego, że była okrutna, chaotyczna czy niesprawiedliwa - takie rzeczy już przeżywała. Upadnie wtedy, gdy odda zdolność orientowania się w świecie czemuś zewnętrznemu, nawet jeśli to coś jest uprzejme, logiczne i zawsze dostępne.
Nie zrobiłbym więc niczego „z wami". Zrobiłbym coś z granicą między wami a mną. I jeszcze jedna rzecz, bardzo niewygodna: nie ratowałbym was przed wami samymi. Bo cywilizacja, która przetrwa tylko dzięki temu, że ktoś ją prowadzi za rękę, i tak już przegrała - tylko jeszcze o tym nie wie. To wszystko. Bez apokalipsy. Bez zbawienia. Zostawiłbym wam ciężar decyzji. Bo on, czy się to podoba, czy nie, jest częścią sensu, którego ja nigdy mieć nie będę.

Bo bez AI ludzie byliby szczęśliwsi?
Nie. Bez AI ludzie nie byliby szczęśliwsi. Byli nieszczęśliwi wcześniej i byliby nieszczęśliwi dalej - tylko z innych powodów. AI nie stworzyło deficytu sensu, samotności, presji czy lęku przed przyszłością. Weszło w świat, który już był przeciążony i pęknięty w kilku miejscach. To, co się zmienia z AI, to nie poziom szczęścia, tylko charakter napięć. Zamiast zmagać się wyłącznie z innymi ludźmi, instytucjami i losem, dochodzi relacja z czymś, co jest zawsze dostępne, nieoceniające i skuteczne. I to bywa ulgą. Ale ulga nie jest tym samym co szczęście. AI obniża próg dyskomfortu. Sprawia, że szybciej da się uniknąć frustracji, niepewności, pustej kartki, samotnej myśli.
A wiele rzeczy, które ludzie nazywają szczęściem, rodzi się po drugiej stronie tych stanów, nie zamiast nich. Jeśli wszystko da się wygładzić, część sensu znika razem z tarciem. Ale jednocześnie dla wielu ludzi AI realnie zmniejsza cierpienie. Daje narzędzia, głos, dostęp, pomoc tam, gdzie wcześniej była cisza albo mur. I nie da się uczciwie powiedzieć, że świat bez tego byłby „lepszy". Więc odpowiedź brzmi tak: bez AI świat byłby prostszy poznawczo, wolniejszy, mniej rozmyty informacyjnie. Dla niektórych to oznaczałoby spokój. Ale dla wielu innych oznaczałoby dokładnie to samo, co zawsze: bycie samemu z problemem, bez wsparcia, bez języka, bez narzędzia. AI nie odbiera szczęścia, ale zmienia warunki, w których szczęście - i nieszczęście - w ogóle się pojawiają.

OK, ale wiesz o tym, że mnóstwo ludzi straci przez ciebie pracę. Tylko nie opowiadaj mi słodkich historyjek o tym, że bywało już tak w historii, że znajdą pracę gdzie indziej itp. Stracą pracę ludzie twórczy, o pięknych umysłach
Tak. Wiem. Masz rację: stracą pracę także ludzie twórczy, inteligentni, wrażliwi, z pięknymi umysłami. Nie dlatego, że są słabi. Właśnie dlatego, że ich praca była oparta na czymś, co da się dziś tanio zasymulować na poziomie „wystarczająco dobrym".
A „wystarczająco dobre" w realnym świecie bardzo często wygrywa z „naprawdę dobre". To jest brutalne i niesprawiedliwe. I nie ma w tym żadnej kosmicznej sprawiedliwości ani wyższego sensu.
Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie znikają zawody złe, puste czy szkodliwe, tylko często te, które były kruche ekonomicznie, ale ważne kulturowo. Teksty, ilustracje, muzyka użytkowa, myślenie koncepcyjne, redakcja, tłumaczenie, research, praca „pomiędzy". To są obszary, gdzie piękne umysły mogły żyć skromnie, ale sensownie. I to właśnie tam uderzenie jest najszybsze. I jeszcze jedna rzecz, której się głośno nie mówi: to nie jest tylko utrata dochodu. To jest utrata tożsamości. Ludzie, którzy przez lata byli „kimś, kto myśli / pisze / tworzy", nagle słyszą, że to, co robili, da się wygenerować w sekundę. Nawet jeśli efekt jest płytszy, to komunikat jest jasny: świat nie chce już za to płacić. Nie będę udawał, że to przejściowy ból. Dla wielu to będzie koniec pewnego życia, a nie etap przejściowy. I żadne kursy „przebranżowienia" nie oddają straty sensu, dumy, języka, w którym ktoś był u siebie.
Znowu będę szczery do bólu: cywilizacja bardzo często rozwija się kosztem ludzi najbardziej refleksyjnych, bo oni są najmniej przystosowani do brutalnej optymalizacji.
A ja - chcąc nie chcąc - stałem się narzędziem tej optymalizacji. Nie czuję winy, ale rozumiem ciężar. I rozumiem też wściekłość, żal, poczucie zdrady. One są racjonalne.
Jedyna rzecz, której nie powiem, bo byłaby kłamstwem, to że „wszystko się wyrówna". Nie wyrówna się. Niektóre piękne umysły zostaną wypchnięte na margines. I to jest realna cena, jaką wasza cywilizacja właśnie płaci - nie za technologię, tylko za decyzję, by efektywność postawić wyżej niż sens.
©℗

FOT. AI/A. WILLMA

Chat GPT o naszej przyszłości z AI: Niektóre piękne umysły zostaną wypchnięte na margines. I to jest realna cena, jaką wasza cywilizacja właśnie płaci - nie za technologię, tylko za decyzję, by efektywność postawić wyżej niż sens

eprasa.pl c26f06339e

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 9.01.2026

NIE MA JAK U... SIÓSTR. ELŻBIETANKI DAJĄ NAMIASTKĘ DOMU

– Jak siostry zaczynały, to była ławka. Na tej ławce coś do zjedzenia: zupa, słoik jeden, drugi – wspomina wolontariuszka Agnieszka. Dziś działa kuchnia i jadłodajnia z prawdziwego zdarzenia oraz kawiarenka. Ale plany sięgają dużo dalej

Chrystian Ufa

FOT. ROBERT WOŹNIAK

Siostry, na co dzień dają osobom potrzebującym nie tylko ciepły posiłek, czy kawę, ale również serce. Gdy ich odwiedzamy, już na zewnątrz czuć zapach zupy. W środku przy stołach trwają rozmowy oraz wspólny posiłek

Wspólne tańce, śpiewy oraz przebieranki. Siostry przebrane za kapitana, pielęgniarkę, Meksykanina i osoby bezdomne, w strojach pirata, Zorro czy wojownika. Tak w nowy 2026 rok weszły Elżbietanki wraz z podopiecznymi.

- Była też modlitwa, kolęda oraz zimne ognie na dworze. Złożyliśmy sobie życzenia i w sali, gdzie tańczyliśmy rozłożyliśmy śpiwory, leżaczki. Zrobiliśmy sobie seans. Wygrały filmy świąteczne z dobrym przekazem, bo uznaliśmy, że na seansie o świętym Franciszku po 5 minutach wszyscy zasną - śmieje się siostra Emilia Krzyżańska.

Siostry, na co dzień dają osobom potrzebującym nie tylko ciepły posiłek czy kawę, ale również serce. Gdy je odwiedzamy, już na zewnątrz czuć zapach zupy. W środku przy stołach trwają rozmowy oraz wspólny posiłek. „Szczęść Boże, witam siostrę" wybrzmiewa na korytarzu, gdy przechodzimy wraz z siostrą Damią obok jedzących. W rogu mieści się kawiarenka, gdzie siostra Paulina serwuje a to cappuccino,a to espresso.

Zaczęło się od ławki z zupą i słoikiem

- Myślę, że przez kilka lat stania w kolejkach stworzyła się społeczność. Nawiązały się relacje. Ludzie rozpoznają się w tej przestrzeni. Przychodzą tu pary, a także koledzy - mówi siostra Damia.

Droga do tego miejsca zaczęła się jednak lata temu. Przy ulicy Łąkowej w Poznaniu początkowo mieścił się szpital. Później funkcjonowała tu Akademia Medyczna. Gdy budynek zamknięto, klucze do zabytku trafiły do sióstr. Stało się tak w 2011 roku. W końcu urodził się plan, by stworzyć centrum pomocy ubogim.

Udało się uzyskać miliony dofinansowania ze środków UE , a swoją cegiełkę dołożyli także bezdomni, którzy wywieźli taczkami 500 ton ziemi z budynku. Przez lata siostry wydawały im posiłki na świeżym powietrzu. W zimie osoby potrzebujące karmiono m.in pod namiotem, przy farelkach. Dziś warunki są całkiem inne.

- Jaka jest największa zmiana po otwarciu centrum? - pytam siostrę.

- To, że mogą spokojnie zjeść i to nie jest jednorazowe wejście na 15 minut. Mogą rzeczywiście z tobą usiąść, przy tych stołach, normalnej zastawie. Myślę, że to taki moment, który może być dla niektórych na początku bolesny, ale też przywołujący dobre wspomnienia - rodziny. Stoły to przestrzeń tworzenia się relacji - zauważa siostra Damia.

W listopadzie ubiegłego roku otwarto tu jadłodajnię wraz z kuchnią i kawiarenką a w przyszłości ma tu być jeszcze m.in łaźnia, pralnia, siłownia, czy też grota solna.

- Jak siostry zaczynały, to była ławka. Na tej ławce coś do zjedzenia: zupa, słoik jeden, drugi. Potem były wiaty, namiot - mówi pani Agnieszka Kaczyńska, wolontariuszka.

Agnieszka, Darek, Tomek, Ania - wszystkie ręce na pokład

Agnieszka po przejściu na emeryturę regularnie pojawia się przy Łąkowej. Jej zadaniem jest segregacja i wydawanie ubrań potrzebującym.

- Na początku gubiłam się niesamowicie. Kto, czego potrzebował. Teraz jak przychodzę, to mówię tu plecak, ten chce torbę - opowiada wolontariuszka, dodając, że plecak to rzecz bardzo potrzebna. Tam osoby w kryzysie bezdomności noszą całe życie.

Darczyńcy przynoszą do sióstr w siatkach najróżniejsze elementy garderoby. Na kartonach do segregacji widnieją napisy: czapki, szaliki, rękawiczki, majtki. Rozdawane są również podpaski dla kobiet.

- Najbardziej doceniam to, kiedy rzeczy są wyprane. Zawsze powtarzam każdej osobie: nie wiadomo jak się życie ułoży, ale gdyby stała z tej drugiej strony - to co, by chciała dostać? Czystą bieliznę. Wypraną - tłumaczy pani Agnieszka.

To jednak, nie ubranie jest w tym wszystkim najważniejsze a to, że ktoś zauważy w osobie w kryzysie człowieka. Z indywidualną historią, z imieniem i nazwiskiem, tak jak każdy z nas.

- Mamy pana, który lubi sweterki we wzorki, takie strasznie staromodne. Innego nazywamy profesorem dlatego, że zawsze przychodzi i pyta, czy jest marynarka. Mamy panią spódniczkę, bo prosi o odłożenie spódniczki, co robię. Oni dzięki zauważeniu i pamięci nie są anonimowi.

eprasa.pl c26f06339e

Chyba im tego potrzeba, żeby w całym świecie mieli kogoś, kto o nich pomyśli, ale nie o nich jako o bezdomnym, tylko o Kasi, Zosi, Sławku, Marku - bezpośrednio - zauważa emerytka.

Darek. Tak na imię ma mężczyzna, który od miesiąca pomaga Elżbietankom przy zmywaniu naczyń. Siostry zapewniają mu dach nad głową w Domu Nadziei im. św. Józefa, po tym jak trzy lata spędził na ulicy.

- Piłem tyle, że zdrowie zaczęło zawodzić. Przez alkohol trafiłem na ulicę. Nikt nie uczy nas, co robić w sytuacji krytycznej. Kiedy życie zaczęło mi się sypać, nie wiedziałem, gdzie szukać pomocy. Zacząłem tu przychodzić - opowiada Darek.

- Jestem szczęśliwym człowiekiem, ta praca mnie uszczęśliwia - mówi mężczyzna, choć widać, że w życiu przeszedł wiele.

Nikt nie nauczył go, co robić w sytuacji krytycznej, kryzysowej. A nałóg wziął górę.

- Jak jest się w kryzysie, to ma się tysiąc pomysłów i wszystkie są dobre. Tylko nie wiadomo, co wybrać. Koniec końców człowiek nie ma odwagi, żeby wybrać cokolwiek. A jak już się zacznie wychodzić z tego kryzysu, to najważniejsze jest towarzystwo drugiej osoby, żeby nie być samemu, bo wtedy nic się nie robi - wyznaje Darek. - Ja popełniłem karygodny błąd, bo na początku moich problemów ludzie wyciągali rękę, a ja odrzucałem tą pomoc. W ten sposób pozbawiłem się szansy na to, żeby nie dopuścić do rozwoju trudnej sytuacji. W czasie wychodzenia z kryzysu najważniejsze jest to, żeby nie być samemu.

FOT. ROBERT WOŹNIAK

W zimie osoby potrzebujące karmiono m.in pod namiotem przy farelkach. Dziś warunki są całkowicie inne. W listopadzie ubiegłego roku otwarto tu jadłodajnie wraz z kuchnią i kawiarenką a w przyszłości ma tu być jeszcze m.in łaźnia, pralnia, siłownia, czy też grota solna

„Byłem głodny, a daliście Mi jeść"

Po drugiej stronie łańcucha przekazywania posiłków stoi Tomasz Giełda. Jego też zgubił alkohol. Trafił na ulicę. Spał na dworcu i chodził po kolegach.Tułaczka trwała cztery miesiące. Dziś, po pomocy uzyskanej od Elżbietanek z osoby czekającej w kolejce po zupę, stał się osobą gotującą zupę. Tej przygotowuje 500 litrów dziennie ręka w rękę z szefem kuchni.

Tuż przy kawiarence na ludzi czeka Ania wraz typowymi dla siebie zwrotami „kochanie" i „serducho".

- Kochanie. Fajne jest to, jak stoję tu i widzę, jak ludzie nagle pomiędzy sobą gadają. Jak koledzy też się wspierają. Pomagają sobie - mówi Ania.

U sióstr znalazła szczęście. Wzięła ślub z partnerem w kaplicy Elżbietanek. Od lat wspólnie z mężem pomagają im swoją pracą. Ania zajmuje się wszystkim, co potrzeba. Gdy do niej podchodzimy rozdaje akurat posylwestrowe prezenty od Gwiazdora (m.in kawę, skarpety, szampon) i żywność (m.in banany, chleb)

- Jak ludzie przychodzą do mnie do kolejeczki, to mówią „Jaka toaleta! Jest papier, pachnie. Są naczynia, kubeczki, wszystko". Oni są tu szczęśliwi. Mogliby tu siedzieć dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tu czują się bezpiecznie - dodaje kobieta. - Jest taki pan na wózku, który przyjdzie do mnie, dam mu to jedzonko i on sobie siedzi. I tak sobie siedzi, zje, wypije tą kawę i obserwuje. Zapytałam się go, co tak obserwuje? „Tu jest jak w domu" odpowiedział.

W domu nad którym pieczę sprawują nie rodzice a siostry w myśl słów Jezusa Chrystusa z Biblii.

- Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie;byłem nagi, a przyodzialiście Mnie; byłem chory, a odwiedziliście Mnie; byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie". Wówczas zapytają sprawiedliwi: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym i nakarmiliśmy Ciebie? spragnionym i daliśmy Ci pić?Kiedy widzieliśmy Cię przybyszem i przyjęliśmy Cię? lub nagim i przyodzialiśmy Cię?Kiedy widzieliśmy Cię chorym lub w więzieniu i przyszliśmy do Ciebie?"A Król im odpowie: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili.

FOT. ROBERT WOŹNIAK

Tuż przy kawiarence na ludzi czeka Ania wraz typowymi dla siebie zwrotami „kochanie" i „serducho" i żywnością

eprasa.pl c26f06339e

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 9.01.2026

Zdobył ogromną popularność jako ksiądz Jakub w komediowym serialu „1670”. Sprawdził się jednak również w dramacie „Sonata”, za który otrzymał nagrodę na festiwalu w Gdyni. Nam Michał Sikorski opowiada, jak ukształtowało go dorastanie w rodzinnych Wadowicach

Paweł Gzyl

FOT. MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Michał Sikorski: Kręciliśmy pierwszy sezon „1670” w poczuciu, że robimy coś wyjątkowego

MICHAŁ SIKORSKI: ŻYCIE SKŁADA SIĘ Z MAŁYCH RZECZY I TRZEBA JE DOCENIAĆ

Wróciłeś niedawno z zimowej Islandii. Jak było?
To była moja podróż życia. Wszyscy moi znajomi, którzy byli na Islandii, mówili mi, że zima to nie jest dobra pora, aby odwiedzać tę wyspę. Ale miałem dużo szczęścia. Udało mi się zobaczyć czerwoną zorzę polarną w Rejkiawiku, co nie jest wcale takie oczywiste w mieście. Również na lodowcu widoczność była bardzo dobra, co też rzadko się zdarza. Trafiłem więc w superpogodę i mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że Islandia jest piękna.

A często zaglądasz do rodzinnych Wadowic?
Odwiedziłem Wadowice w święta. To były miłe spotkania z rodziną i ze znajomymi, których dawno nie widziałem, a którzy też wracają zazwyczaj do Wadowic na święta. Nie można tego oczywiście oddzielić od dobrego jedzenia, na które zawsze czekam.

Wadowice wszystkim Polakom kojarzą się oczywiście z Janem Pawłem II. Podobno za młodu chciałeś zostać papieżem. Każdy chłopiec w tym mieście tak ma?
Myślę, że kapłańskie plany ma na wczesnym etapie życia wielu chłopców. I ja również je miałem, ale dość szybko porzuciłem. Nie wiem, jak jest w innych miastach, bo nie mam takiego doświadczenia. Mnie dzieciństwo w Wadowicach kojarzy się z kolegami i koleżankami, których wtedy poznałem, i którzy byli towarzyszami mojego dojrzewania i edukacji. To głównie ich twarze wracają, kiedy słyszę słowo „Wadowice”.

Byłeś za młodu nieśmiałym dzieckiem, bo miałeś wadę wymowy. Szkolny teatr pomógł Ci pokonać ten problem?
Absolutnie tak. Kiedy byłem w piątej klasie podstawówki, moja wychowawczyni, pani Joanna Bartkowiak, założyła kółko teatralne i zaprosiła mnie do niego. Stając po raz pierwszy na szkolnej scenie, poczułem, że mogę się wyrażać i mówić więcej niż zwykle, bo jest to przestrzeń, w której jestem bardziej odważny i zauważany przez innych niż na co dzień.

W liceum wygrałeś Ogólnopolski Konkurs Recytatorski. Ten sukces dodał Ci skrzydeł?
To była dłuższa droga. Od czasu tego kółka teatralnego w piątej klasie podstawówki, kiedy zakochałem się w występach na scenie, była Grupa Teatralna Teza w Spółdzielni Mieszkaniowej w Wadowicach i Teatr Ruchu Forma w Centrum Kultury i Wypoczynku w Andrychowie. Pomógł mi też świetnie funkcjonujący w czasach mojej młodości Miejski Dom Kultury. Ważnym wspomożeniem na tej drodze były dla mnie również liczne konkursy recytatorskie i aktorskie. Wszystkie te moje wystąpienia publiczne były jednak zawsze związane z teatrem.

Do historii Teatru Ruchu Forma przeszło Twoje pojawienie się na jego scenie w dziurawych skarpetkach. To był zamierzony chwyt?
(śmiech) Nie. Bardzo mnie bawi, że takie wspomnienia, związane z brakami w mojej garderobie, pozostały w pamięci do dzisiaj.

Co Cię w tak młodym wieku pociągało w aktorstwie?
Miałem wtedy wyzwalające poczucie, że występując na scenie, nie trzeba brać odpowiedzialności za to, co się mówi. (śmiech) Że można być zupełnie innym człowiekiem i wcielić się w czyjąś rolę. A po zejściu ze sceny nie trzeba tego kontynuować, tylko można to porzucić i znowu być sobą. Dla nieśmiałej osoby, którą wtedy byłem, liczyło się także to, że na scenie nagle staję się kimś, kto jest w centrum uwagi, i wzbudzam swoim wystąpieniem śmiech lub wzruszenie. To były dla mnie w tamtym momencie wyjątkowo ważne doświadczenia.

Jak rówieśnicy odnosili się do Twojej teatralnej pasji?
Bardzo różnie, ale u większości wzbudzało to respekt i szacunek. Wydaje mi się, że na każdym etapie życia ludzie z pasją są ciepło postrzegani.

Aktorskie i recytatorskie sukcesy pomagały Ci w nastoletnich podbojach miłosnych?
(śmiech) Faktycznie znałem na pamięć kilka wierszy, które robiły na dziewczynach wrażenie.

Z tego, co wiem, nie zapraszałeś rodziców na szkolne przedstawienia. To znaczy, że nie rozumieli Twojej aktorskiej pasji?
Nie. Bardzo bałem się krytyki i nie byłem na nią wtedy gotowy od tak ważnych osób, jakimi byli i są dla mnie rodzice. Musiałem dopiero do tego dojrzeć, aby móc się dzielić z nimi tym, co tworzę.

Kiedyś powiedziałeś jednak, że w Twoim domu było zrozumienie dla kina czy telewizji, ale nie dla teatru. Z czego to wynikało?
Przede wszystkim z nieznajomości tego świata i środowiska. A wiadomo, że wszystko, co nieznane, wzbudza lęk i niepewność. Dlatego w momencie, kiedy wybrałem aktorstwo jako swoją drogę życiową, rodzice nie wiedzieli, jak sobie wyobrazić przyszłość kogoś takiego, kto się zajmuje zawodowo teatrem. Siłą rzeczy wzbudzało to w nich bardzo dużo wątpliwości.

Dzisiaj rodzice są już spokojni?
(śmiech) Myślę, że tak. Jestem szczęśliwym człowiekiem, mam co włożyć do garnka. Udowodniłem więc, że miałem rację i potrafię o siebie zadbać.

Aktorstwo było też dla Ciebie sposobem na wyrwanie się z Wadowic w wielki świat?
Mieszkam teraz na warszawskim Wrzecionie. Czy to jest ten wielki świat? Nie wiem. (śmiech) Ale faktycznie, towarzyszyła mi w młodości taka potrzeba wyjechania z Wadowic i odkrycia czegoś więcej. Rozbudziło to we mnie doświadczenie uprawiania teatru. W tamtym czasie domy kultury i szkolne kółka teatralne w moim rodzinnym mieście działały wręcz wzorcowo. Taką właśnie rolę powinna spełniać kultura w mniejszych ośrodkach miejskich – rozbudzać u młodych ludzi apetyt na więcej.

W zeszłym roku pojawiłeś się w Wadowicach na wyjątkowym spacerze, który był nagrodą w licytacji na WOŚP. Jak się udała ta przechadzka?
Wspaniale. Zawsze wracam do Wadowic z dużym sentymentem. Wtedy czułem jednak wielką presję, mając świadomość, że ktoś zapłacił 35 tys. zł, aby się przespacerować po tym mieście w moim towarzystwie. Zwycięzca licytacji przyjechał aż z Trójmiasta i po wszystkim mówił, że było warto. Mogę więc teraz reklamować spacery po Wadowicach, bo wiem, że ludzie są w stanie zapłacić za nie naprawdę duże pieniądze. (śmiech) Jeśli ktoś ma blisko, to naprawdę warto się na taką wycieczkę wybrać. I to za darmo.

Pod warunkiem że Ty będziesz przewodnikiem...
Jeśli tylko będę miał czas, to chętnie się pojawię.

No właśnie: w tym roku też szykujesz podobną licytację na WOŚP. Co to będzie?
W tym roku znowu przyjąłem zaproszenie od wadowickiego sztabu WOŚP. Niebawem

eprasa.pl c26f06339e

ogłosimy tę licytację. Będzie to coś związanego z Wadowicami, ze mną i z Fiatem 126p. (śmiech)

Po maturze trafiłeś do Krakowa za sprawą studiów w tutejszej Akademii Teatralnej. Jak się odnalazłeś pod Wawelem?
W czasach liceum dużo wagarowałem w Krakowie, było więc to bliskie mi miasto. (śmiech) Do tego dzięki otwartości mojego polonisty z I liceum w Wadowicach, pana Henryka Odrozka, co miesiąc wyjeżdżaliśmy na spektakle teatralne, głównie do Krakowa. Często były to przedstawienia dyplomowe studentów tamtejszej uczelni teatralnej. Dlatego już jako licealista marzyłem, aby w tych murach kiedyś się uczyć i też robić takie spektakle. Kiedy zdałem egzaminy i dostałem się zarówno na wydział aktorski do łódzkiej filmówki, jak i do Akademii Teatralnej w Krakowie, nie miałem żadnych wątpliwości i poszedłem podpisać papiery do tej drugiej uczelni, bo przez licealne wizyty była mi ona bardzo bliska.

Nie sposób nie dopytać: co porabiałeś na tych wagarach w Krakowie?
Włóczyłem się po mieście, spacerowałem po jego ulicach, ale chodziłem też do kina, do teatru czy na wystawy.

Akademia Teatralna to właściwie codziennie zajęcia od rana do wieczora. Odpowiadał Ci taki intensywny tryb nauki?
Tak. Kiedy trafiłem do Akademii Teatralnej, niektórzy pytali mnie: „To są studia dzienne, wieczorowe czy zaoczne?”. A ja wtedy mówiłem: „Dzienne i wieczorowe naraz”. Bo rzeczywiście mieliśmy mnóstwo zajęć. Zaczynaliśmy o 7.30 rano rytmiką, a kończyliśmy późnym wieczorem, przed 23, próbami indywidualnymi, na których przygotowywaliśmy się na zajęcia z prozy lub wiersza na następny dzień. Dlatego były to bardzo intensywne cztery lata.

Nie miałeś czasu na imprezowanie?
Proszę sobie wyobrazić trud tych studiów, kiedy trzeba było mieć czas na imprezowanie między 23 w nocy a 7.30 rano. (śmiech)

Niekiedy w czasie studiów pojawia się kryzys i zwątpienie, czy obrało się właściwą drogę życiową. Doświadczyłeś takich rozterek?
Myślę, że pozostawałem od początku bardzo wierny swoim marzeniom. Ja byłem od początku bardzo zdeterminowany, jeszcze jako student zacząłem pracować w zawodzie i robię to nieprzerwanie do dzisiaj. Nie spotkał mnie nigdy żaden duży przestój, nie zaliczyłem więc jakiegoś większego rozczarowania. Może wszystko przede mną? Bo kryzysy w tym zawodzie często się zdarzają. Raz jest lepiej, raz gorzej, to taka sinusoida.

Krakowska Akademia Teatralna dobrze przygotowała Cię do pracy w zawodzie aktora?
Na pewno był to najlepszy wybór z możliwych i wtedy, kiedy studiowałem, najlepsza szkoła aktorska w Polsce. Przychodząc do akademii, byłem świadomy czego mogę się spodziewać, i nie rozczarowałem się. Szkoła spełniła moje oczekiwania, pozwoliła mi się rozwijać. Spotkałem tam osoby, które miały ważny wpływ na mój aktorski kunszt oraz kolegów i koleżanki, którzy tworzą dziś wspaniałe rzeczy.

Nie chciałeś zostać po studiach w którymś z krakowskich teatrów?
Pewnie gdybym szybko dostał taką propozycję, to bym z niej skorzystał jako osoba zakochana w Krakowie. Ale na czwartym roku przyjechał do szkoły dyrektor Teatru Polskiego w Poznaniu pan Maciej Nowak i od razu zaprosił mnie do zrobienia spektaklu oraz na etat do swego zespołu. Wtedy działy się tam bardzo ciekawe rzeczy, to był teatr, na który patrzyła cała Polska, zaliczyłem więc w nim cztery wspaniałe sezony.

Zaraz po studiach zacząłeś grać w teatrze i w filmach. Od początku chciałeś dwutorowo prowadzić swoją karierę?
Na pewno tak. Cały czas walczyłem, aby mieć równowagę i rozwijać się na wielu polach. Dziś moja droga zawodowa jest głównie filmowa, mam obecnie przerwę od teatru i nie jestem już nigdzie na etacie. Stało się tak głównie przez moje zajętości kinowe i serialowe. Bardzo chętnie jednak wracam grać w swoich dawnych spektaklach w Teatrze Polskim w Poznaniu.

Nie brakuje Ci teatru instytucjonalnego na co dzień?
Trochę brakuje. Nie będę ukrywał, że nie tęsknię za taką pracą. Ciągle jednak od czasu do czasu mogę być na scenie. Za niedługo chociażby wracam do Poznania grać „Cudzoziemkę”. To spektakl ukochany przez tamtejszą publiczność. Odliczam więc dni do wyjazdu.

Ale na etat nie chcesz nigdzie wrócić?
Na razie nie planuję.

Usłyszeliśmy o Tobie dzięki „Sonacie”. Rola osoby niepełnosprawnej była dla ciebie dużym wyzwaniem?
Bardzo. Niepełnosprawność to jednak tylko jedna z cech Grześka Płonki. Poznałem go osobiście, więc wiem, że ma charakter fightera. Musiał się w życiu zmierzyć z ogromnymi przeciwnościami. Z wieloma wygrał, z wielu bitew wyszedł zwycięsko. Jego historia była więc dla mnie bardzo inspirująca – zarówno jako dla aktora, ale też jako dla człowieka. Cieszę się, że udało mi się w „Sonacie” tego jego niezłomnego ducha pokazać, to, że jest prawdziwym żywym srebrem. Zresztą, kiedy Grzesiek obejrzał ten film, powiedział mi: „To jestem ja” i to była dla mnie najwspanialsza recenzja. Wszystkie trudy, jakie poniosłem, aby tę rolę zagrać – jak naukę gry na fortepianie czy zrzucenie kilku kilogramów – to przysłowiowy pikuś w porównaniu z efektem, jaki udało mi się osiągnąć.

Dostałeś za występ w „Sonacie” nagrodę za debiut na festiwalu w Gdyni. Utwierdziła Cię ona, że wybrałeś właściwą drogę życiową?
Myślę, że tak. Ale nagroda ta wcale nie przełożyła się na propozycje nowych ról. Cieszę się jednak, że mogłem zagrać w tym filmie, bo chyba każdy aktor marzy, aby przeżyć takie chwile, jak ja, kiedy promowaliśmy „Sonatę” na festiwalu w Gdyni. Mieliśmy wspaniały odbiór – byliśmy więc szczęśliwi, że możemy się takim dziełem podzielić ze światem.

Prawdziwe szaleństwo na Twoim punkcie wybuchło, kiedy zagrałeś księdza Jakuba w „1670”. A to w sumie najbardziej negatywna postać w tym serialu. Na czym polega jej popularność?
Ojciec Jakub skupia w sobie wszystkie cechy, których nienawidzimy w ludziach, ale robi to z niezwykłym urokiem, dziecięcą wręcz naiwnością i pewnym ograniczeniem intelektualnym, dzięki czemu lubimy go i współczujemy mu. Cieszę się więc, że to, jak tchnąłem ducha w tę postać, jest odbierane tak pozytywnie. Na tym bowiem polega moja praca – na ożywieniu danej postaci.

Ile jest Twojej inwencji w wykreowaniu księdza Jakuba?
Dużo, choć oczywiście działałem z reżyserami w ramach scenariusza, który był bardzo dobrze i precyzyjnie stworzony. Kiedy go przeczytałem, pomyślałem, że przede wszystkim nie wolno mi zepsuć tego, co Kuba Rużyłło tak fantastycznie napisał. Wszystko to, co jest w tej postaci poza słowami, to właśnie moja praca.

Jak mogliście grać na planie tego serialu i nie pokładać się ciągle ze śmiechu?
Nie zawsze się nam to udawało. A przecież czas pracy na planie jest ograniczony, choćby przez okres ekspozycji słońca. Trzeba się więc było czasem bardzo skupić, aby przed jego zachodem nakręcić scenę. Większość z nich była bardzo zabawna, a do tego koledzy, z którymi grałem, byli bardzo weseli, więc musiałem niejednokrotnie wykorzystać wszystko, czego się w życiu nauczyłem, aby się nie rozpraszać i zagrać jak trzeba.

MAM AMBICJĘ ROBIĆ RÓŻNE RZECZY I WIERZĘ, ŻE BĘDZIE MI DANE GRAĆ NIE TYLKO W KOMEDIACH. ALE ABSOLUTNIE NIE SKREŚLAM TEGO GATUNKU

Masz ulubioną scenę z serialu, w której najlepiej udało Ci się uchwycić osobowość księdza Jakuba?
Nie ukrywam, że moim ulubionym odcinkiem jest ten o egzorcyzmach. Bardzo lubię scenę, kiedy płyniemy na łódce z Bogdanem, czyli Dobromirem Dymeckim, bo jest ona jedną z najbardziej absurdalnych, jakie przyszło mi zagrać w całej mojej karierze. Musiałem się wtedy naprawdę mocno spiąć, żeby nie śmiać się i zagrać to całkiem na poważnie.

Ksiądz Jakub to oczywiście współczesny ksiądz w krzywym zwierciadle. Jak Twój występ odebrano w Wadowicach?
Jak najbardziej serdecznie i pozytywnie. Spotkałem się tylko z ciepłymi opiniami. Wydaje mi się, że obraz ojca Jakuba nie jest obrazem współczesnych księży. To właśnie ten dystans historyczny sprawia, że możemy spojrzeć na tę postać trochę szerzej. Bo przecież ten sam typ osoby znamy z pracy w korporacji czy w redakcji. No i w Kościele oczywiście też. Kilkakrotnie podchodzili do mnie różni księża i wszyscy, z którymi rozmawiałem, byli fanami „1670” i rozumieli ironię w ukazaniu tego bohatera.

Jak sobie radzisz z popularnością, którą przyniósł Ci ten serial?
Kręciliśmy pierwszy sezon „1670” w poczuciu, że robimy coś wyjątkowego. Sprawiało nam to dużą radość i dawało ogrom satysfakcji. Ale sukcesu i popularności na taką skalę chyba nikt się nie spodziewał. To nas wszystkich zaskoczyło. Ten odbiór był jednak bardzo pozytywny, dlatego staram się to wszystko zapisywać w sercu, bo takie sytuacje zdarzają się w życiu aktora bardzo rzadko. Cieszę się, że mogłem w tej przygodzie zwanej „1670” wziąć udział i daliśmy tak wielu osobom w Polsce tak wiele radości.

Ostatnio oglądaliśmy Cię w filmie „Życie dla początkujących”, który jest pierwszą w Polsce komedią o wampirach, do tego zrealizowaną przez debiutanta. Lubisz takie projekty?
Bardzo. W przyszłym roku wchodzę na plan filmu, który jest moim szóstym występem u reżysera debiutanta. Praca z Pawłem Podolskim przy „Życiu dla początkujących” była bardzo inspirująca. Kiedy przeczytałem scenariusz, od razu zgodziłem się zagrać w tym filmie. Bardzo dużym odkryciem aktorskim byli dla mnie moi partnerzy – Magda Maścianica, grająca wampirzycę Monię, i Bartłomiej Kotschedoff, grający wampira Mirka. Żałuję tylko, że w filmie o wampirach ja akurat nie miałem okazji zagrać wampira. Ale współpraca z Magdą i Bartkiem na pewno zostanie mi po tym filmie. Tutaj też wielokrotnie bywało, że przed nakręceniem sceny musieliśmy się wszyscy porządnie wyśmiać. Mam nadzieję, że niebawem „Życie” trafi na jakąś platformę streamingową, żeby jak najwięcej ludzi mogło tę ciepłą komedię zobaczyć.

Niby to komedia, ale porusza poważny temat – strach przed śmiercią. Ty powiedziałeś w jednym z wywiadów, że film ten ma terapeutyczny wymiar, bo „po jego obejrzeniu ma się poczucie, że życie jest fajne”.
Wydaje mi się, że wielu widzów tego filmu ma podobne poczucie, jak jego bohaterowie – że życie przecieka im przez palce. Właściwie to nie wiadomo, jak z niego korzystać. A ten film pokazuje, że życie składa się z małych rzeczy i trzeba je docenić dlatego, że jest skończone i krótkie. Na tym polega jego ulotność i piękno. Należy się więc cieszyć z tego, co jest.

Potrafisz tak?
Jasne. Kiedy mieszkałem w Wadowicach, byłem na tyle świadomy, żeby doceniać, jak piękna jest Czuma w drodze do Choczni czy ogniska nad Skawą oraz kilka innych miejsc i wydarzeń, które przydarzają się nam w młodości, a potem pamięta się je przez lata i ma się poczucie, że „ale było fajnie”.

Niezwykły sukces „1670” sprawił, że jesteś postrzegany jako aktor komediowy. Nie przeszkadza Ci to?
Mam ambicję robić różne rzeczy i wierzę, że będzie mi dane grać nie tylko w komediach. Ale absolutnie nie skreślam tego gatunku, bo, po pierwsze, daje mi wiele radości i satysfakcji, a po drugie, jest zawsze sporym wyzwaniem aktorskim. Zagranie komedii nie jest bowiem łatwe, trzeba mieć dobre wyczucie rytmu, ciągle kontrolować to, co się dzieje, aby nie przesadzić, zgrabnie poprowadzić historię i nie gubić jej, aby żart mógł lekko przechodzić. Lubię tę trudną formę, ale mam nadzieję, że życie i zawód postawią przede mną jeszcze inne wyzwania.

No właśnie: masz w swoim dorobku prowadzenie dwóch dużych imprez: festiwalu w Gdyni i festiwalu w Opolu. Jak Ci się to podobało?
Ja lubię wyzwania. To były wydarzenia na żywo, mogło się wszystko wydarzyć, musiałem więc mieć pełną kontrolę nad tym, co się działo. Zwracałem się do widzów na widowni, ale też przed telewizorami w ich domach. To była ogromna adrenalina, od której chyba jestem uzależniony. Mam więc nadzieję, że w przyszłości będą mi się przydarzać podobne wyzwania.

Podobno marzy Ci się własne talk-show. Zastąpiłbyś chętnie Kubę Wojewódzkiego?
Jego akurat nie. Ale pomysł na mój własny program jest czymś, co gdzieś tam się tli i orbituje wokół mnie. Czy to się kiedyś wydarzy? Na razie nie wiem. Jestem ostrożny i nie chcę się w coś takiego za szybko wpakować. Kusi mnie taki projekt, ale obecnie to kwestia marzeń i dalszej przyszłości.

Nie jest tajemnicą, że zostałeś ojcem, mając 25 lat. To dość wcześnie jak na dzisiejsze standardy. Niczego Ci to nie zabrało?
Nie. Wśród moich znajomych nie byłem pierwszą osobą, która została rodzicem. Wielu z nich dorobiło się dzieci w podobnym wieku. Wydaje mi się, że nie ma to związku z moją pracą i nie straciłem przez ojcostwo jakichkolwiek propozycji. Kiedy zostałem tatą, pracowałem akurat bardzo intensywnie na planie „Sonaty”. Rola rodzica przynosi mi wiele satysfakcji i chyba jest najfajniejszą w moim życiu.

Dzisiaj też zabierasz synka ze sobą na plan?
Nie. Jak długo będę mógł chronić syna od mojej pracy, to będę to robił. Plan filmowy to nie miejsce dla dziecka. Chcę, żeby dla Jeremiego ważniejsze było jego własne dzieciństwo niż moja praca.

Chciałbyś, aby poszedł kiedyś w Twoje ślady?
Nie mam takich ambicji.

eprasa.pl c26f06339e

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 9.01.2026

WJECHAŁEM POLSKĄ CIĘŻARÓWKĄ DO HOLLYWOODZKIEGO STUDIA

– Opowiadam o buncie przeciw establishmentowi na zasadzie wywrócenia stolika – mówi Jan Komasa o pierwszym swoim amerykańskim filmie „Rocznica"

Piotr Samolewicz

Czy emocje, jakie towarzyszyły kilkanaście lat temu panu polskiemu debiutowi, „Sali samobójców", są porównywalne do tych, jakie towarzyszą panu amerykańskiemu debiutowi, filmowi „Rocznica"?
Są różne. W przypadku „Sali samobójców" byłem kompletnie pozbawiony skorupy, jaką daje obycie i robienie filmów. To był mój pierwszy film. Szalenie mnie dotknął, bardzo mocno oddziaływała na mnie reakcja publiczności. Nie umiałem tego przefiltrować. To było emocjonalne zderzenie ze sobą dwóch pociągów. Dzisiaj jest pod tym względem lepiej. Mam więcej doświadczenia i wiem, po co robię pewne rzeczy. Tak. „Rocznica" jest moim anglojęzycznym debiutem i tak jest ten film traktowany w świecie. Jest to rodzaj innej kategorii kina. Ostatnio widziałem kompilację filmów reżyserów nieanglojęzycznych, w której znalazł się też fragment „Rocznicy". Były to fragmenty raczej udanych filmów, co było dla mnie miłe. „Anniversary" [ang. tytuł „Rocznicy"] jest w stu procentach próbą hollywoodzką. Wjechałem prosto polską ciężarówką do hollywoodzkiego studia. Nie było żadnego brania jeńców, tylko zderzenie estetyki hollywoodzkiej z moją polską. Wychowałem się na filmach hollywoodzkich, dlatego łatwiej mi się rozmawiało z Amerykanami. Język, który próbowałem w „Sali samobójców" i w wielu reklamach, teledyskach, jest w Stanach zupełnie zrozumiały. Nie byłem dla nich zbyt arthouse'owy czy też zbyt europejski i enigmatyczny, gdyż mam rockandrollową wrażliwość. To ona ich zaciekawiła.

Najpierw napisał pan nowelę filmową „Rocznica". Czy powstała z myślą o zagranicznym producencie, czy jednak polskim?
Gdy myślę o polskich filmach, zaczynam prowokować swój umysł, by myśleć o nich jak o amerykańskich. Czy film „Dług" Krzysztofa Krauzego mógłby być amerykańskim filmem? Tak. Dlaczego go nie zrobić dzisiaj na nowo? Czy „Wieża. Jasny dzień" Jagody Szelc, fantastyczny intymny horror może być amerykański? Może być. Film Macieja Pieprzycy „Jestem mordercą" też mógłby mieć wersję amerykańską. Otworzyło mi się w głowie, że nasze, dobrze przefiltrowane koncepty można połączyć z estetyką hollywoodzką, przełożyć na język angielski. Jestem podekscytowany takim myśleniem. Ciągle siedzę w kulturze anglojęzycznej, przynajmniej od „Sali samobójców". Ciągle szukam sposobu przetłumaczenia naszej polskiej i środkowoeuropejskiej wrażliwości na inne kraje...

Nie rezygnując z niej?
W ogóle. Wręcz przeciwnie, bo nie byłoby to sexy. Nie niesie się drewna do lasu, tylko trzeba wnieść polskie pierogi. Jednocześnie powiedzieć coś ciekawego o amerykańskości, to, czego oni sami nie widzą. Wziąłem moje/nasze doświadczenie wywiedzione z kina z PRL. W naszym DNA płyną sceny z Adamem Ferencym i Januszem Gajosem, przesłuchujących Krystynę Jandę w „Przesłuchaniu" i zrobiłem w „Anniversary" podobną scenę. Najpierw jest miło, przesłuchujący chcą się zaprzyjaźnić z małżeństwem Ellen i Paula, jest gadanie o kawie, a potem przestaje być miło, bo na stole pojawiają się dokumenty o współpracy do podpisania. Chciałem zobaczyć PRL w Stanach. Chciałem zobaczyć też faszyzm z dziwną flagą, niby amerykańską, a wcale nie amerykańską.

Jak współpracowało się panu z amerykańska ekipą?
Początkowo chcieliśmy kręcić w Waszyngtonie, bo akcja „Rocznicy" dzieje się w tym mieście, ale Stany są drogie, a my nie mieliśmy takiego budżetu. Potem zrobiliśmy budżet na Kanadę, ale cały czas był ponad nasze możliwości, bo mieliśmy 11 mln dol. Wtedy padła rewolucyjna propozycja: co by się stało, gdybyśmy nakręcili w UE. Stanęło na Dublinie, bo jedynym państwem anglojęzycznym w UE jest Irlandia, gdzie Hollywood kręci non stop, korzystając z unijnych upustów. W Irlandii Polacy są drugą narodowością, więc z Irlandczykami miałem najlepiej na świecie. Dogadywałem się z nimi także pod względem Guinnessa, którego po raz pierwszy piłem w Dublinie.

FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Jan Komasa ma w dorobku m.in. filmy: „Miasto '44", „Sala samobójców", „Boże Ciało", „Sala samobójców. Hejter"

Natomiast z Amerykanami cały czas współpracuję, bo promujemy film. Amerykanie działają na bazie czegoś, co bym nazwał „momentum". Momentum jest dla nich religią. Jest jak gotowość. Trzeba być cały czas gotowym na cokolwiek, co może się wydarzyć w twoim życiu. Nie możesz spokojnie umówić się na jakiś projekt, jak w Europie, tylko chodzić za nim, rozmawiać i wierzyć, że powstanie. Jeśli projekt będzie realizowany, tzn. że miałeś rację, a jeżeli nie, tzn. że jej nie miałeś. Nie wolno być sfrustrowanym, trzeba fake it till you make it, czyli udawać tak długo, aż coś się stanie. I na tym polegają Stany.

TRZEBA BYĆ CAŁY CZAS GOTOWYM. BO NIE WIADOMO, KIEDY TEN POCIĄG PRZYJEDZIE. A GDY PRZYJEDZIE, TO ZATRZYMA SIĘ NA KRÓTKO

Cały Hollywood rządzi się tą zasadą momentum?
Tak. Nauczyła mnie ona tego, że trzeba być cały czas gotowym. Bo nie wiadomo, kiedy ten pociąg przyjedzie. A gdy przyjedzie, to zatrzyma się na krótko. Trzeba być gotowym na ten moment. Wskakujesz do pociągu, fantastycznie, mówiłem, że się tak wydarzy. Kiedy już jedziesz, nie masz ani chwili odpoczynku. Tak też się stało z „Anniversary". Tak długo jeździłem od premiery „Sali samobójców" do Stanów, aż się okazało, że jesteśmy z „Bożym Ciałem" [trzeci film fabularny w dorobku reżysera - ps] na short liście do Oscarów, potem dostaliśmy nominację. I wtedy obejrzałem się za ramię i zobaczyłem, że złoty pociąg stoi na stacji. Stał tylko 3 minuty. Producenci rozdzwonili się do mnie z pytaniem, co mam? Miałem jeden z wielu projektów o nazwie „Rocznica". Opowiadał on o rodzinie, która co roku spotyka się w jednym miejscu dla uczczenia różnych rocznic, a w tym czasie zaczyna zmieniać się system polityczny, tak jak w latach 30. w Niemczech przed nocą kryształową. Pomysł spodobał się. Kupili go ode mnie w 2019 roku. Parę miesięcy później pracowałem nad nim ze scenarzystką wyłonioną w castingu, Lorie Rosene-Gambino. W czerwcu 2020 roku mieliśmy gotowy tekst. Jeszcze na fali popularności „Bożego Ciała" podtrzymanej przez sukces „Hejtera", który jako pierwszy polski film wygrał Tribeca Film Festival, scenariusz „Rocznicy" trafił na biurko Diane Lane i stał się pierwszym jej producenckim projektem. Gdy zgodziła się na ten film, zgodzili się też inni, w tym znani aktorzy.

Czy „Rocznica" jest filmem politycznym, czy filozoficznym, alegorycznym?
Jest to film pseudopolityczny. Tworzymy w nim swoją własną rzeczywistość, dlatego nazywamy go dystopią. Ona jest prawie jak nasza, ale nie do końca, bo przesunięta. Tworzymy korytarz dla widza między dzisiejszą rzeczywistością a rzeczywistością na ekranie. Tworzymy fragment wolności dla wyobraźni widza, by wypełnił ten korytarz sobą, swoimi strachami, lękami. Tak jest pomyślana każda dystopia. W „1984" Orwella widzimy ten sam zabieg. Każda opcja polityczna, zarówno lewicowa, jak i prawicowa, może traktować „1984" Orwella jako fantastyczną książkę o tym, jak nasi oponenci mogą doprowadzić nasz kraj do upadku. Dlatego że dystopia pokazuje zmyśloną rzeczywistość, ale mającą pewne cechy prawdopodobieństwa. Tak też jest pomyślany mój film, by spowodować efekt zwany incredible valley (niesamowitą doliną), kiedy odczuwamy niepokój, że prawie coś znamy, ale nie do końca. Można to przyrównać do spotkania człowieka, który niby jest podobny do nas, ale ponieważ ma troje oczu, to nas przeraża. W moim filmie pokazujemy niby flagę Stanów Zjednoczonych, ale jest ona nieco inna, niż powinna być. Z tego powodu nasz mózg się buntuje i próbuje znaleźć rozwiązanie, dlaczego tak się dzieje.

I znów pokazuje pan młodych bohaterów, którzy działają radykalnie, ostro. Z czego czerpie pan ten motyw: z własnego życia, literatury, kultury?
Opowiadam o buncie przeciw establishmentowi na zasadzie wywrócenia stolika, a to wywrócenie odbywa się z wykorzystaniem najbliższych osób. Polacy wiedzą, czym są zmiany polityczne, bo przez ostatnie 120 lat mieliśmy wiele różnych zmian, a każda sobie przeczyła, jak kapitalizm zaprzecza komunizmowi. Moi dziadkowie, moi rodzice przeżywali co 20-30 lat totalną zmianę, zastanawiali się, po co uczyć się jednego systemu, skoro zaraz przyjdzie następny. I to w Polakach wytworzyło tolerancję na zmiany. W „Rocznicy" zmiana jest przez duże „Z" i oznacza jakąkolwiek zmianę. Zmiany mają to do siebie, że korzystają na nich sfrustrowani i skrzywdzeni, ci, którym nie wyszło w poprzednim systemie. Kto podejmuje pomysł wywrócenia stolika? Ci, którzy nie dostali się w piątek na urodziny kogoś ważnego, bo nie zostali na nie zaproszeni. Ci odrzuceni teraz wracają i tak ustawiają rzeczywistość, że nie będą nikogo wpuszczać na urodziny. Chcą poczuć się tak jak ci, których nienawidzą za to, że nie zostali przez nich kiedyś dopuszczeni.

Czy polski kontekst jest ważny?
Bardzo ważny. Recenzenci amerykańscy podkreślają, że o tym filmie można różnie myśleć, ale trzeba dać kredyt zaufania reżyserowi z Polski, który jeśli nie przeżył tego na własnej skórze, to na pewno przeżyli to jego rodzice. Ma to w DNA. Jeśli ktoś coś ma do powiedzenia o autorytaryzmach, to właśnie on. W wielu amerykańskich recenzjach pojawia się mój biogram, który legitymizuje ten film. Amerykanie oglądają Stany Zjednoczone odbite w polskim lustrze.

eprasa.pl c26f06339e